№ 48 Piątek, dnia 27 Sierpnia 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE Tygodnik

WARSZAWA dnia 15 (27) Sierpnia 1875 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
„ „ na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Ś-to Jerskiej Nr. 1769b. (nowy 12) róg Nowiniarskiej.

NA MYLNEJ DRODZE.

POWIEŚĆ

W OBRAZKACH Z NASZEGO ŻYCIA.

przez

Krystynę Narbuttównę.

(Dalszy ciąg. — Patrz w Numer 47).

Pomimo że oddaliły się sporo od straży i odbiły od reszty drużyny, nie niepokoiły się tem wcale, nie pierwsza to już była im taka wędrówka; od dziecinych lat przywykły do niej. Las na wsi, to jakby ogród, dostarcza rozmaitych rozrywek i celem jest różnorodnych wycieczek; na wiosnę majówka, w lecie orzechy, w jesieni grzyby i polowania nęcą do niego; więc obie, a mianowicie Anna, znały swój las na wylot i zbłądzić w nim nie mogły. Młodzież obojej płci wychowana na wsi o wiele jest zaradniejszą, śmielszą, a nawet przytomniejszą, od tej, która w murach miasta wzrosła, a więc i naszym dziewczkom na myśl nawet nie przyszło obawiać się czegokolwiek; wiedziały, że chociaż sąsiednie lasy obfitowały w zwierzynę, ta część znajdowała się na samym skraju, tak blisko siedzib ludzkich, że żaden gruby zwierz tu się nie pojawi, spokojnie więc sobie odpoczywały.

— Czuję się niewypowiedzianie strudzoną, mówiła Wanda, i muszę ci się przyznać że już drugą noc nie śpię prawie.

— A to z jakiego powodu? zapytała Anna.

— Od chwili kiedy nam ciocia powiedziała że na zimę pojedziemy do Warszawy, ta nowa myśl spokoju mi nie daje.

— Bardzo wierzę, ale cóż robić, rodzice znajdują że to jest dla ciebie koniecznem, potrzeba się poddać tej konieczności, kiedy inaczej być nie może.

— Jakto poddać? chyba ty mnie nierozumiesz, ja w ciągłej jestem gorączce z radości że jedziemy.

— Z radości? powtórzyła Anna, patrząc na Wandę ze zdumieniem.

— Ale tak, z radości! — toż osiągnięty będzie cel moich najgorętszych życzeń, wejdę w świat, poznam życie prawdziwe.

— I ty tak mówisz Wando—jakbyś tu nie miała świata i życia, chyba ty żartujesz.

— Jakież ja tu mam życie? jaki świat w tym zakącie?

— Wando! opamiętaj się! — i ty to możesz mówić? ty, coś taka szczęśliwa.

— Jakto łatwo powiedzieć—szczęśliwa, to zależy od tego co komu do szczęścia wystarczyć może.

— Ależ ty kochasz— i wiesz że... że... jesteś kochaną — powiedziała jakby z trudnością Anna i pochyliła głowę.

— Rozumiem, mówisz o Januszu—widzisz moja droga ja go kocham to prawda, ale nie tak znowu, ażebym dla niego mogła się wyrzec świata i tego wszystkiego czego istotnie duch mój pragnie, do czego myśl dąży; jakkolwiek on mi jest sympatycznym, zamknąć się tu z nim na wsi jak w klatce nie mogę—czuję żebym się zamęczyła—to życie nie moje; niewiem jeszcze co mię tam czeka w Warszawie, ale to wiem, że mi tam będzie szerzej, że tam znajdę więcej materyałów do życia a kto wie może i sposobności do czynu, do którego rwie się cała moja dusza.

Anna już więcej nie podniosła rozmowy—i pochylona siedziała w zamyśleniu, Wanda też umilkła a dając swobodę myślom, marzyła sobie dalej na tle ulubionem.

Dość długo tak siedziały.

— Co panie tu robią? dał się słyszeć nagle głos dobrze znany, w którym brzmiało radosne zdziwienie i stanął przed niemi Janusz zestrzelbą na ramieniu—obie porwały się jakby spłoszone i stanęły zarumienione nie mogąc słów znaleść na odpowiedź, tak pojawienie się młodego sąsiada było nagłe i niespodziane.—Janusz ponowić musiał zapytanie; pierwsza Wanda oprzytomniała.

— Oto jak pan widzi zbieramy grzyby, odrzekła z uśmiechem wskazując na stojące na ziemi koszyki—a o mało cośmy już nie wtargnęły w terytoryum Starego Dworu, lecz szczęśliwie się stało, że powstrzymałyśmy się na granicy, bo pan spotkał byś nas tam i może nam nasze grzybki zabrał, dodała z figlarnym uśmiechem.

— Nie—grzybków bym nie zabrał, ale bym panie same zaaresztował i na żąd matki mojej odprowadził pod strażą do Starego Dworu.

— Sam byś pan na tem wyszedł najgorzej, pani Zadorowa z pewnością uczęstowałby nas jeszcze tą przewyborną kawą z sucharkami, jaka zwykle w Starym Dworze bywa, a panu dałaby dobrą burkę za taką nieludzką surowość względem biednych sąsiadek — my zaś nabrałybyśmy przekonania na zawsze, że pan jesteś złym sąsiadem, egoistą nieużytym i unikałybyśmy go obchodząc zdaleka pańską granicę, mówiła przekomarzając się Wanda.

— A jak to panie są skore do wydania natychmiastowego wyroku; a może właśnie ta moja nieludzka surowość byłaby udaną.

— Czy i pani potępiłaby mnie tak od razu, jak panna Wanda — dodał młody człowiek zwracając się do Anny.

— Być bardzo może żebym potępiła, lecz o udanie fałszywości nieposądzałabym pana nigdy.

— I słusznie odparł z uśmiechem Janusz.

Anna zarumieniła się jeszcze bardziej.

— Ale co za miła dla mnie niespodzianka, mówił dalej, żem panie tu spotkał; po kilkodniowej niebytności w domu, dziś rano wyszedłem do lasu obliczyć sągi, które rąbano bezemnie i oto znajduję panie na swojej drodze—nie darmo sroczka skrzeczała na płocie kiedym z bramy wychodził, dodał wesoło.

— A godziło się to tak nas zchodzić po cichu i przestraszać niespodzianie—wymówiła Wanda.

— Bóg widzi żem nie miał wcale zamiaru zchodzić i przestraszać, ale nie moja w tem wina, że panie tak zajęte były zozmową żeście nie posłyszały moich kroków.

Dzieweczki pokraśniały, przypomniały sobie że właśnie przed chwilą o nim mówiły; jakkolwiek Wanda bywała zawsze pewną siebie, tym razem jednak tchu jej zabrakło—Anna ośmieliła się zapytać.

— Czy od dawna pan tu stał przy nas?

— Niech się panie uspokoją — ani chwili nie stałem — szedłem zamyślony drożyną, a ujrzawszy panie niespodzianie, zdziwiony natychmiast przemówiłem — jednakże, dodał patrząc badawczo w oczy panienkom, widząc jak się panie zaniepokoiły, wyznaję że niezmiernie jestem ciekawy wiedzieć o czem też panie mówiły przed mojem nadejściem.

— Mówiłyśmy o naszym wyjeździe, odpowiedziała już spokojna Wanda.

— O jakim wyjeździe? — zapytał młody człowiek.

— Ach, prawda zapomniałam, że pan nie będąc u nas od dni kilku wiedzieć o tem nie może, ale sama tak jestem całkowicie tą myślą zajęta, iż mi się zdaje iż cały świat wraz ze mną o tem myśleć i wiedzieć musi; wyjeżdżamy na kilka miesięcy do Warszawy.

— Na kilka miesięcy do Warszawy — powtórzył zwolna młody człowiek i twarz jego przed chwilą ożywiona i wesela pełna, sposępniała nagle.

— Tak właśnie, wujostwo chcą ażebym się w muzyce kształciła wyżej, a oprócz tego obie z Anną brać mamy jeszcze inne lekcye prywatne—wszystko to zajmie najmniej pół roku—a ja nie posiadam się z radości na tę myśl.

— Więc panią tak bardzo uszczęśliwia na-

dzieja opuszczenia Zalesia? — zapytał Janusz patrząc seryo w jej oczy.

— Nie nadzieja opuszczenia Zalesia właściwie, ale ta myśl że poznam świat, poznam życie prawdziwe.

— Więc pani sądzi, że w Warszawie znajdzie życie prawdziwsze niż w Zalesiu?

— Ależ rozumie się, gdzie jest ognisko inteligencyi całego kraju, źródło ogólnego ruchu, tam się żyć musi życiem pełniejszem.

— Więcej gorączkowem, namiętnem, być może ale czy koniecznie pełniejszem? czyż pani tutaj już nic zapełnić życia niepotrafi? i Janusz ręką piersi przycisnął, jakby go tam coś boleśnie ukłuło.

— Pan co mnie znasz tak dobrze, czyż możesz pytać o to — pan wiesz najlepiej że dla mojego czynnego ducha potrzeba szerszego pola nad to, które innym kobietom wystarcza, polot mojej myśli rozbija się nieustannie o ściany tej ciasnej klatki w której się tutaj zamkniętą czuję; ja potrzebuję spożytkować tę energię swego charakteru, której uśpić mi niepodobna. To dziwna rzecz dodała Wanda że pan co mię dotąd tak dobrze rozumiałeś, dzisiaj mię nie rozumiesz.

— Dotąd zdawało mi się że panią w zupełności pojmuję, a dzisiaj istotnie jej nie rozumiem odpowiedział Janusz i wsparty na strzelbie zapatrzył się milczący w ziemię—po chwili jednak podniósł głowę i z goryczą w głosie zapytał Anny.

— Czy i pani także z taką przyjemnością opuszcza Zalesie? ten dom w którym spędziła wiek dziecinny, te lasy i pola które jej tyle rezrywek dostarczały, wszystko do czego serce przywykło, co ukochało!

— Ach panie! ja nie wiem jak ja tam bez tego wszystkiego wyżyć potrafię—i Anna mówiąc to złożyła rączki a wgłosie jej i całej postawie, tyle było rzewnej prawdy, że Janusz spojrzał na nią uważniej, ale rozdrażniony nie mógł się powstrzymać i mówił dalej z ironią.

— Warszawa dostarczy pani rozrywek, które zatrą z łatwością pamięć tego wszystkiego co tu pozostało.

Anna nie dostrzegła ironii Janusza.

— Rozrywki warszawskie mówiła, jakkolwiek mogą być zupełnie dla mnie nowe i świetne, nie potrafią wszakże wyrwać mojego jestestwa z tego koła w które ono już wrosło.

— Ale pani tam znajdziesz nowych ludzi, nowe życie.

— Ludzi i życie—alboż ja tutaj ludzi i życia nie mam?

— Ludzie tutejsi zawsze jedni, zawsze ci sami.

— Tem lepiej że zawsze ci sami, łatwiej mi przyjdzie ich poznać, łatwiej się zżyć z niemi.

— Tu życie nudne, jałowe—tam, mówił Janusz z naciskiem chcąc ukłuć Wandę, znajdziesz pani przecie szersze pole dla polotu myśli, dla działalności swojej.

Anna poczuła szyderstwo i znać cokolwiek obrażona, bo ściągnęła brew i podniosla głowę.

— Życie wśród pracy ani nudnem, ani jałowem być nie może, nie dano mnie wprawdzie siły bym mogła całe gmachy budować, ale olbrzymi gmach każdy, z małych cegełek się składa, a ja te cegiełki właśnie przyspasabiać chcę i mogę tutaj gdzie mnie wola Boża postawiła. Ostatnie słowa Anna powiedziała z taką siłą i uczuciem, że z ust Janusza znikł uśmiech szyderczy; młody człowiek wyprostował się, spojrzał na nią poważnie, podał jej rękę i uścisnął mówiąc:

— Masz pani zupełną słuszność i ja niechcę być pasożytem mego społeczeństwa, a kiedy pierwszy raz poczułem w sobie pragnienie pracy i działania, żaliłem się na los, że mnie postawił właśnie w takiej pozycyi gdzie do pracy publicznej szczupłe mam pole, ale zastanowiwszy się chłodniej, doszedłem do tego przekonania, że człowiek stworzony na to ażeby był członkiem ogólnej ludzkości; gdziekolwiek wola Boża go postawi, wszędzie ku dobru ogólnemu pracować może, a nawet nosząc jak pani słusznie nazwałaś małe cegiełki może być pożytecznym swojemu społeczeństwu, byleby je znosił wytrwale i w pracy swej nieustawał.

— Szczęśliwi! że wam znoszenie takich okruszyn wystarcza i życie zapełnia, powiedziała Wanda—ale wróćmy do cioci—dodała, może się tam o nas niepokoi — i poszli wszyscy troje. Napróżno grzybki wychylały ciemne główki z po nad wrzosu, żadne z młodzieży teraz o nich nie myślało—szli obok siebie prawie nierozmawiając, bo trudno się zebrać na jakąkolwiek rozmowę wtedy, kiedy nie możemy lub nie chcemy mówić o tem co właśnie w tej chwili myśl naszą głównie zajmuje.

Janusz odprowadził panienki, aż do miejsca skąd już strzechę straży było widać, tu zatrzymał się. Anna i Wanda zapraszały go na śniadanie, ale młody człowiek tłómaczył się ważnem i pilnem zajęciem w domu; Wanda zatrzymywać go dłużej nie chciała, a Anna nie śmiała—i Janusz odszedł — potrzebował samotności, ażeby uporządkować trochę wzburzone myśli i uspokoić zranione uczucie.

Niespodziana wiadomość o wyjeździe Gasztoldów do Warszawy niewypowiedzianie przykrą mu była; niemożność widywania Wandy przez tak długi przeciąg czasu wydawała mu się do niewytrzymania ciężką, ale stokroć jeszcze boleśniej go dotknęło, że Wanda której uczucie dla siebie zaczynał dostrzegać, tak skwapliwie, z taką serdeczną uciechą wyjeżdżała, a więc oczywiście nie musiała go kochać, jeżeli tak długie rozstanie nie było jej przykrem.

Jak to zwykle kiedy się kocha, Janusz marzył niekiedy o tem, ażeby dozgonnym węzłem połączyć się z ukochaną i razem wspólnie przechodzić dalszą wędrówkę życia; dziś wszakże zaczynał dostrzegać w jej charakterze i wewnętrznem usposobieniu przeszkody do spełnienia tych marzeń; widział że polot jej fantazyi nie da się ująć w karby zwyczajnego życia. To wszystko spadło na niego tak nagle, że zgniotło boleśnie jego serce a myśl tak splątało, że chwilami działać przestawała. Dowlókł się machinalnie do miejsca gdzie przed chwilą cios go ten dotknął, rzucił się na ziemię i tak kilka godzin przeleżał; myślał, cierpiał, walczył a kiedy już około wieczora wrócił do domu, pani Zadorowa aż się przelękła taki był zmieniony na twarzy.

Z tem wszystkiem, według zwyczaju, na drugi dzień Janusz pojechał do Zalesia; ciągnęła go tam moc pierwszej miłości. Ochłonąwszy trochę z pierwszego wrażenia, tłómaczyć sobie zaczął postępowanie Wandy i jej usposobienie, wrażliwością, niezwykłą energiją i t. d.—a komuż to z kochających zabrakło kiedy przekonywających argumentów do wytłómaczenia przed sobą samym ułomności ukochanej osoby? Wiara w jej doskonałość, dopiero z miłością ustaje. Janusz kochał, więc wierzył.

W Zalesiu Wanda przyjęła Janusza z ujęciem. Czy żal jej było postradać miłość Zadory, czy sama jeszcze miała w sercu uczucie dla niego, dość że potrafiła znacznie go uspokoić, oboje rozstali się wzajemnie zadowoleni, a Janusz wracając do domu mówił sobie.

— Niepotrzebnie dręczyłem się tyle, to widoczne, że Wanda ma dla mnie zawsze to samo uczucie, nie jej to wina, że myśl zanadto może w niej szeroka, nie wątpię że pod wpływem uczucia wszystko to kiedyś zmieni kierunek, a że przy swojej wrażliwości pragnie gorąco poznać zbliska świat szerszy, nic dziwnego, może i lepiej gdy go pozna wcześniej, potem oceni łatwiej rozkosz zaciszy i spokoju.

Tak uspakajał sam siebie młody Zadora a pomimo to jednak, tkwiła na dnie jego duszy jakaś niepewność, która gdy raz tam się

Z KRONIKI DWUTYGODNIOWEJ.

Pan kronikarz *Tygodnika Ilustrowanego* daje nam w numerze 398 tego pisma zgryźliwą odpowiedź na wzmiankę, jakąśmy uczynili w felietonie naszym *U ogniska* w Nr. 45. W obec posuchy na dobre i pożywne treścią artykuły zwraca felietonista nasz uwagę na *Tygodnik Ilustrowany*. Zaznaczając fakt, felietonista nie miał bynajmniej na myśli jego *świeżości* i wcale na nią nie kładł nacisku. Tymczasem to jego odezwanie się dało panu kronikarzowi powód do wystąpienia i popisania się ze złośliwością tym razem bynajmniej nie będącą na miejscu. Przycinek dotyczący wyśmiewania starych kościołków i domków do nas stosować się nie może, gdyż nigdy nie robiliśmy z tego powodu zarzutu *Tygodnikowi* i chociaż nie zawsze podobały nam się owe kościołki ze względów artystystycznych—szanowaliśmy w nich stronę pamiątkową i dlatego czując, że zarzut jakobyśmy byli *najniedomyślniejszymi* z *niedomyślnych* do nas się nie stosuje, kończymy tę odpowiedź postawieniem pytania *najdomyślniejszym* z *domyślnych:* dlaczego pisma nasze ilustrowane podają częstokroć rzeczy słabe i na uwagę nie zasługujące, zapychają swoje łamy kopiami z obrazów nie odznaczających się bynajmniej ani inwencyą, ani zaletami rysunku a nie spotkaliśmy się dotąd z wieloma utworami sztuki, których lekceważyć nie należy, jak naprzykład z reprodukcyą malowideł znajdujących się w byłym zamku biskupim (dziś gmachu Rządu Gubernialnego) w Kielcach, ze wszech miar godnemi przerysowania i uchronienia tym sposobem od zagłady, której w kolei czasu uledz będą musiały. Krótki opis tych malowideł podajemy w dzisiejszym numerze naszego pisma i mamy nadzieję, że zwróci na siebie uwagę czyją należy i zachęci pp. wydawców pism ilustrowanych do zapoznania szerszego koła publiczności z rzeczą istotnie godną rozpowszechnienia.

O ile administracye kolejowe nieznajomością warunków ekonomicznych lub nieuwzględnianiem rzeczywistych potrzeb mieszkańców, nieodpowiadają swemu przeznaczeniu, nietylko ze szkodą ogólnego dobrobytu, ale i uszczerbkiem własnych interesów przekonywa brak przystanku w Bendzinie. Wprawdzie miasto to odległem jest tylko o cztery wiorsty od stacyi Dąbrowa Górnicza i dlatego zprzyczyn terytoryalnych dotąd nie uwzględniono tej konieczności, jakby nie wiedząc że odległość uważana sama przez się jest w tym razie zupełnie rzecz podrzędną. Bendzin bowiem liczy

wkradła, już ustąpić całkowicie nie chciała, odzywając się niekiedy silnie i rzucając cień na Wandę, która dotąd była mu ideałem; a ile razy przypomniał sobie scenę w lesie, tyle razy stanęły mu w myśli słowa Anny poważne, spokojne a jednak tak pełne uczucia i siły, i z żalem sobie pomyślał — czemuż Wanda nie jest tak samo usposobioną.

* * *

W jednym z najpokaźniejszych domów Warszawy na Krakowskiem - Przedmieściu w eleganckim apartamencie senatorowej Krasnopolskiej zebrało się liczne grono gości; raut był świetny, tak z powodu że był jednym z najpierwszych rozpoczynającej się zimy, jako też że w kole wyższej sfery warszawskiego towarzystwa senatorowa Krasnopolska znaną była z uprzejmej gościnności i dostatku. Była to osoba już przeszło pięćdziesięcioletnia; ale wybornie zakonserwowana, elegantka wielkiego świata, miernego wzrostu, dobrej tuszy, majestatycznej postawy, zawsze starannie ubrana, ożywiona, ruchliwa, towarzyska, była to jedna z tych kobiet co do grobowej deski bawić się potrzebują; nie wysokich wprawdzie była zasobów umysłowych, jak wszystkie te, których umysł nie zwykł wychodzić po za obręb błahotek salonowego życia i dla których konwenanse i etykieta stanowią najwyższą powagę; biegłą była niezmiernie w szczebiotaniu o niczem, które było niegdyś warunkiem dobrego tonu, jako też w paplaninie francuskiej, bez której dawniej w wyższych sferach towarzystwa osoby dobrze wychowanej nie pojmowano. Dzisiaj przy ogólnym rozwoju nietylko umysłowym ale i godności, zmieniły się pojęcia. Prawdziwie poważne rodziny stojące na świeczniku krajowym a szanujące tradycyą swojego rodu, wyrzuciły z salonów język francuski, który przeszedł za Żelazną Bramę i na Stare-Miasto, gdzie zwłaszcza w każdą sobotę najwięcej się już dzisiaj produkuje; pozbyto się już ze swych domów cudzoziemek nieznanej a zbyt często awanturniczej przeszłości, które w przybranej z potrzeby roli nauczycielek nasz kraj tłumnie nachodzą; na ich miejscu w poważniejszych prawdziwej arystokracyi domach już po większej części stanęły Polki, córki znanych a poczciwych rodzin i tym powierzono kształcenie naukowe młodzieży. Ale dwadzieścia lat temu nosiliśmy jeszcze na oczach bielmo, które nam zasłaniało śmieszność i zdrożności lafiryndyzmu i senatorowa od dziecka wzrosła i wychowana wśród tej niezdrowej atmosfery, przedstawiała prawdziwy typ światowej kobiety swojego czasu. Z natury wszakże miała charakter tak serdeczny, otwarty i szczery, że nawet blichtr tych stosunków wśród jakich żyła sfałszować go nie potrafił.

(*D. c. n.*)

NATURA I LUDZKOŚĆ.

Witam gwiazdziste niebios oblicze,
Witam cię, nocy wiosennej ciszo!
O zanuć dumki swe tajemnicze!
Niech one duszę mi ukołyszą!

* * *

Gdy tęskno patrzę w dal lazurową,
Pierś ma niebiańskim zachwytem płonie;
O witaj, witaj, wdzięków królowo!—
Przed tobą korne pochylam skronie!

* * *

Naturo, blaskiem cudnym świetlana,
Wielbi cię dusza śpiewaka wrząca!
Lecz patrz!—tam ludzkość stoi cierpiąca!—
Przed nią synowskie zginam kolana!

Ant. Pilecki.

KREDYT ROLNY.

(K. J.) Bogactwo naszego kraju spoczywa w roli—w niej, leżą skarby prawdziwe; a gospodarz — ziemianin eksploatować je powinien. Zawsze to zakątek nasz był prawdziwą spiżarnią dla sąsiadów, czerpano też z niej pełnemi garściami, a Wisła na swym szerokim grzbiecie miliony już łasztów wywiozła do Gdańska.

Nie możemy się pochwalić znakomitym stanem naszego przemysłu, nie mamy bogatych i kwitnących fabryk i zakładów, przywozimy z zagranicy bardzo wiele, a cały prawie nasz handel wywozowy stanowi jeden produkt—zboże. Zdawałoby się, że w takiem położeniu rzeczy, przemysł rolny powinienby się znajdować w stanie kwitnącym, że gospodarz, zarówno jak każdy handlujący lub przemysłowiec ma ułatwione stosunki kredytowe, że na każde żądanie otrzymuje zaliczki z banków i innych instytucyi finansowych, i że nakoniec społeczeństwo chętnie spieszy z kapitałami potrzebnemi dla założenia instytucyi tego rodzaju.

Tak by się zdawało, niestety, ale rzeczywiście, jest inaczej i bardzo inaczej.

Rzecz nieprawdopodobna, a jednak prawdziwa, że ubogi żydek utrzymujący drstrybucyą tabaczną, lub kramik norymberski ma daleko więcej ułatwiony kredyt aniżeli gospodarz rolny, właściciel dziesięciu lub piętnastu włók dobrej, urodzajnej ziemi. Dziwny to doprawdy objaw naszych stosunków społecznych smutna plama na naszem ekonomicznem życiu; trudne do przebaczenia niedbalstwo o własne dobro. Przemysł rolny to zdrój z którego czyste strumienie ożywiają wszystkie klasy naszego społeczeństwa — wszyscy pojemy się z niego; a jeżeli zdrój ten zasypanym zostanie, wówczas może wody zabraknąć.

A rola to nie list zastawny od którego co pewien czas odcina się kupony, to nie kamienica w mieście z której lokatorowie co kwartał czynsz właścicielowi przynoszą—nie sklep z trunkiem, do którego nieustannie przychodzą kupujący. Tu potrzeba ciągłej i nieustającej pracy, potrzeba kapitałów zapasowych i potrzeba dzielnego czynnika ekonomicznego, potrzeba kapitału i pracy, potrzeba kredytu.

Zamiarem naszym jest powiedzieć kilka słów o tem. Dalecy jesteśmy od myśli że możemy traktować wyczerpująco ten ważny i zajmujący przedmiot — nie. Kredyt rolny to szeroki temat dla ekonomisty, temat do obszernej pracy. Nam idzie tylko o to, aby w krótkich zarysach określić obecne położenie kredytu rolnego, wykazać konieczność ułatwienia tego kredytu i rzucić kilka myśli jakie się w tym przedmiocie nasuwają. Jeżeli tylko słowa te zwrócą uwagę czytelników i myślącego ogółu na ważność podniesionej tu kwestyi—cel nasz w zupełności będzie osiągniętym.

Rola sama nie rodzi, nie dosyć jest rzucić ziarno na wiosnę i spać spokojnie aż do jesieni, zebrać plon, omłócić i sprzedać. Ziemia potrzebuje nakładów i pracy. Potrzeba ją użyźnić, a stąd wynika konieczność utrzymania żywego inwentarza. Potrzeba zorać, zbronować i zasiać. Więc trzeba pługów, ludzi i ziarna; trzeba mieć fundusz na kupno narzędzi i maszyn, fundusz na reperacyą tych

---

przeszło sześć tysięcy mieszkańców jest jednym z ważniejszych punktów handlowo- przemysłowych położonpch na całej linii kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Między innymi fabryka gwoździ i drutu pp. Laskier i Gutman tygodniowo przywozi surowych materyałów i wysyła przerobionego towaru około czterystu centnarów. Parowy młyn p. Potok przerabia tygodniowo sześćset korcy, a Amerykański pan Hamburger w ciągu tegoż czasu czterysta korcy twardego zboża. Cała ta masa zboża, przeważnie przychodzi koleją do stacyi Dąbrowa, a stąd dopiero na osiach dostawianą jest do młynów; a po przerobieniu jej potrzeba znowu dostawiać tąż samą drogą do tejże stacyi na dalszą wysyłkę. Te trzy przedsiębierstwa nie licząc innych pomniejszych, jak również liczbu pasażerów z samego Bendzina pochodzących, mają prawo w interesie tak własnym jako i ogólnej doniosłości, domagania się urządzenia przystanku wraz z odpowiedniemi zwrotnicami (weksle) dla ładowania i wyładowywania towarów w tak znacznej obfitości, tym więcej że linja kolei przechodząca przez terytoryum miasta przyczyniłaby się tem samem do wzrostu miasta i tym większego rozwoju i handlu w tej miejscowości.

Z tych przeto powodów mieszkańcy miasta Bendzina, o ile nam wiadomo niejednokrotnie proponowali Zarządowi kolei urządzenie na swym terytoryum odpowiedniego przystanku, deklarując nawet z swej strony przyjść z pewną pomocą materyalną, przedstawienia te wszakże dotąd niezostały uwzględnionemi. Zarząd bowiem przekonany że dochód kasowy stacyi Dąbrowa pochodzi w znacznej części z Bendzina i wiedząc że akcyonaryusze mają poręczone przez Rząd procenta, uważa za stosowne drzemać spokojnie na laurach w tem błogiem przekonaniu, że tutejsze koleje nie są, jak to ma miejsce we wszystkich ucywilizowanych krajach, dla publiczności, ale raczej publiczność dla kolei.

Mimo tego potrzebę odpowiedniego przystanku w Bendzinie, uważając jako przyczynek posługujący do podniesienia choć w cząstecce ogólnego dobrobytu, podnosimy w łamach naszego pisma w tem przekonaniu, że może choć po dniach wielu i po latach wielu zwróci wreszcie na siebie bliższą uwagę Zarządu kolei Warszawsko-Wiedeńskiej.

Hodowla roślin pod wielu względami nauczającą jest rzeczą dla człowieka nawet najwyżej kompetentnego w swym zawodzie. Między innemi wątła roślinka pnącego się wina dzikiego po sztachetach Saskiego Ogrodu od ulicy Niecałej, wskazuje ogrodnikowi, jak wspaniałym kobiercem mógłby, gdyby zechciał przyozdobić widok z tej strony. Ogrodnik jednak-

maszyn, fundusz na wynajęcie robotników i trzeba posiadać zapas ziarna do siewu.

Po zasianiu jeszcze nie jedno pozostaje do zrobienia, trzeba ciągłej baczności i dozoru, trzeba strzedz przed szkodnikami wypasującemi pola wśród nocy; aż nareszcie zboże dojrzało, nadchodzi pora żniwa. Kosztowna to bardzo operacya, zależna od pogody, wymagająca ukończenia w krótkim czasie. Trzeba dopiero całej energii i znacznego kapitału. Należy korzystać z pogody i zebrać jak najwięcej robotników, jak najwięcej wozów i koni, aby umknąć przed deszczem i złożyć zboże w sterty lub stodoły. Wreszcie i to skończone—ale, kampania roczna nie przynosi jeszcze owoców. Trzeba zboże omłócić, co się także darmo nie odbywa, trzeba je wyczyścić z plewy i kurzu, wymłynkować i szukać kupca, lub odstawiać na rynek. Ta chwila dopiero ma wynagradzać koszt i pracę całoroczną.

Jeżeli był rok urodzajny, zysk jest znaczny, ale czy wszystkie lata bywają urodzajne? Raz szusze zbyteczne, drugi raz deszcze ciągłe, zły czas do zbiorów i t. d. Jakiegoż to potrzeba kapitału rezerwowego, aby przetrwać taki rok krytyczny. Widzimy więc jak znacznych potrzeba tutaj funduszów i jakiej olbrzymiej, ciężkiej, a wytrwałej pracy.

W takiem położeniu rzeczy jak też sobie radzi obywatel ziemski, ta nieszczęśliwa istota otoczona przez faktorów, obdzierana przez lichwiarzy, żyjąca z dnia na dzień, w ciągłych kłopotach i nieustannym niepokoju i biedzie?

Na wiosnę brak im zboża do siewu—usłużny żydek, tak zwany „kupiec“ rzeczywiście zaś lichwiarz z sąsiedniego miasteczka, dostarczy jęczmienia, owsa, grochu i t. d. na rachunek pszenicy i żyta, które mają być w jesieni zebrane; ludzka ta przysługa, licząc w to honorarya faktorów, kosztuje od 3 do 4% miesięcznie—poczciwy Aron wygodził i dziura jak to mówią załatana. Ale nadchodzą sianokosy, nadchodzą żniwa, znowu trzeba pieniędzy i znowuż zjawia się tenże sam pan Aron. Zawiera się umowa na przyszłoroczną wełnę, na okowitę, lub dzierżawę gorzelni, wreszcie na resztę spodziewanych plonów.

Czyli jaśniej mówiąc Aron zostaje właścicielem wełny, propinacyi, zboża, dzierżawcą gorzelni, Aron rządzi samowładnie w stodole, oborze, owczarni, spichlerzu, Aron rządzi lasem, który bez miłosierdzia wycina, jednem słowem Aron zostaje właścicielem majątku de facto... a „Wielmożny pan dziedzic“ jest ekonomem Arona. Jeszcze rok, dwa, a już koło Arona wyrastają jak grzyby adherenci, przyjeciele i krewni — jest już pan pisarz od zboża, pan pisarz od lasu, pan pachciarz, pan arendarz et consortes. Wszyscy ci prowadzą już na swoją rękę różne mniejsze operacye — demoralizują włościan, sprzedając im pokryjemu wódkę, pożyczając pieniędzy na zastawy i eksploatując ich mienie i pracę tysiącznemi sposoby.

Tacy to Aronowie trzymają w monopolu kredyt rolnika, a ponieważ przemysł rolny jak każda gałęź przemysłu obejść się bez kredytu nie może, przeto ziemianie chcąc nie chcąc muszą się poddać losowi i znosić ciężkie jarzmo niedoli.

Nikt nam nie zarzuci przesady, gdyż obrazek wyżej skreślony, jest rzetelnym wizerunkiem stanu naszych srednich majątków ziemskich. Wiemy przecież doskonale, że główną przyczyną tak częstych subhastacyi, biedy, smutnego stanu gosopdarstw rolnych, jest brak uczciwego kredytu.

Wiemy o tem wszyscy którzy żądamy od ziemian aby sprowadzali maszyny, kupowali sztuczne nawozy, komposty, aby prowadzili gospodarstwo według ostatniego wyrazu ciągle postępującej nauki agronomii.

Śmieszne żądanie, kazać kupować maszyny ludziom którym nie wystarczaja na zapłacenie robotników? Nic dziwnego, że w naszych gospodarstwach budynki się walą, inwentarz lichy i źle utrzymany, bo inaczej być nie może w tych warunkach, w jakich się obecnie ziemianie znajdują.

Przypuśmy że znajdują się ludzie pragnący oprzeć się monopolowi żydowskiemu, że są tacy którzy nie chcą się poddać dobrowolnie pod owo jarzmo istnej egipskiej niewoli. Jakież mają środki po temu?

Filie Banku Polskiego. Tam można znaleść kredyt na przystępnych warunkach. Ale pytanie czy tak łatwo otrzymać ten kredyt.

Przedewszystkiem Bank żąda opinii dwóch handlujących; któżsą ci panowie handlujący— w trzech czwartych częściach to izraelici. Oprócz tego potrzeba poręczenia. Czy w dzisiejszych czasach tak bardzo chętnie ręczą jedni za drugich? Nakoniec, wysokość kredytu jakiego żądać może ziemianin, bardzo jest ograniczoną i nie wystarczającą.

Bank jest instytucyją prawdziwie pożyteczną, instytucyją która już wiele dobrego w kraju zrobiła, ale ten Bank, który zaspokoić może potrzeby kilkuset dajmy na to jednostek, nie zdoła zaspokoić potrzeb całej klasy naszych przemysłowców rolnych. A przecież to wszystkim tego kredytu potrzeba.

Kupcy mają wszelkie możliwe ułatwienia w dostaniu kredytu, rzemieślnicy mają stowarzyszenia i kasy zaliczkowe, urzędnicy nawet w każdem niemal biurze posiadają kasy wkładowe i mogą z nich dostać w razie potrzeby pieniędzy — tylko jeden rolnik nie ma żadnej pomocy.

Czyż w takiem położeniu rzeczy należy się wyśmiwać z naszego obywatela i żartować sobie z jego kłopotów, ze sprzedaży zboża na pniu i t. p. Doprawdy że nie. Raczej trzeba wołać głośno i ciągle o potrzebie kredytu, powtarzać to aż do znudzenia, aż dotąd, dopóki głosy te nie poruszą drzemiących w spokoju kapitalistów, ukazując im źródło godziwych i dobrych korzyści połączonych ze znakomitą dla społeczeństwa zasługą.

Jakież to źródło?

To banki rolne prywatne. Interes oparty na kapitałach wkładowych, z których byłyby udzielane rolnikom zaliczenia zabezpieczone na zbożu, inwentarzu, wreszcie na majątku i osobie dłużnika.

Zdaje się że rzecz łatwa do zrozumienia.

W guberni kilkunastu kapitalistów składa pewien fundusz, nie wzbraniając naturalnie uczestnictwa i tym którzyby chcieli przystąpić z niewielkiemi wkładami. Sami ziemianie którymby z Banku owego kredyt udzielano, złożyliby chętnie pewne sumy na ten cel. Zgromadziwszy zaś potrzebny fundusz, wykonywać operacye kredytowe zadawalając się umiarkowanym procentem.

Oto wszystko.

Wreszcie ileż to jest na to sposobów. Czy założenie Banków prywatnych przez kapitalistów, czy urządzenia towarzystwa opartego na wzajemnym kredycie, czy też na wielką skalę kasa zaliczkowa, wkładowa, czy akcyjny handel zbożowy z udzielaniem zaliczek, jednem sływem cokolwiek trzeba zrobić i to zrobić koniecznie, gdyż uregulowanie kredytu rolnego to rzecz na czasie, rzecz ważna i spojona silnym nierozerwanym węzłem z ogólnym dobrobytem kraju całego. Pozostawanie dłuższe w dotychczasowych warunkach grozi ruiną i ogólnem bankructwem tej właśnie klasy ludzi w ręku której złożone są skarby nasze: to jest ziemian.

Czy chcecie dowodu, że kredyt o którym mowa jest rzeczywiście potrzebny? Damy wam ten dowód. Wiadomo powszechnie że włościanie nasi z wielką trudnością przyjmują wszelkie innowacye np. znaczna część tych ludzi do dziś dnia żywi w sobie to przekonanie że składki asekuracyjne jako to od ognia, od pomoru bydła i t. d. są podatkiem i ciężarem. A jednak ciż sami włościanie gdy im zależ patrząc na to obojętnie powtarza w duszy: daj kurze grzędy, to ona chce wieży, gdybym od tej strony obsadził dzikim winem, to by wkrótce zachciało im się tego i od Królewskiej ulicy. A co mnie po tym zachodzie skoro i bez tego należną mi pensyą odbiorę.

Archeologiczny wreszcie chodnik od strony Saskiego Placu przy Hotelu Europejskim zastąpiony został betonowym, a choć zbyteczna oszczędność niedozwoliła doprowadzić go do samych ścian domu, zawsze wypada nam powiedzieć przechodząc: *lepszy rydz niż nic.* Ciekawi jesteśmy jak też długo oczekiwać będziemy na *połatanie* wprawdzie nie *czapką butów*, ale tegoż samego chodnika od strony Krakowskiego-Przedmieścia pomiędzy sklepami pp. Brünera i Pawłowskiego. Nie sądzimy aby administracya Hotelu Europejskiego jako wielkiego gmachu rządziła się w tym względzie znaną powszechnie maksymą wedle której: *wielkim panom* wszystko na świecie uchodzi.

O ile grunt społeczeństwa naszego nie jest dotąd odpowiednio uprawionym, przekonywa między wielu innemi doręczanie bezpłatne przez listonoszów, korespondencyi przychodzących pocztą. Panowie ci, zapewne w swem mniemaniu również urzędnicy pocztowi, tacy sami jak dygnitarze prezydujący na stopniach omnibusu kolejowego, dla pozbycia się nie potrzebnego kłopotu w doręczaniu listów wedle adresu poczynają wprowadzać do Warszawy chińskie zwyczaje, gdzie każdy czuje się w prawie odebrać list do kogo bądź pisany. Otóż i listy dzisiaj jako niepozostające pod kontrolą trzech kopiejkową, oddają się jakto mówią pierwszemu lepszemu kto się napatoczy na drodze i niedługo ta manipulacya dojdzie do tej doskonałości co Gazeta Anonsowa, którą roznosiciele nie chcąc trudzić prenumeratorów, całemi pakami w najbliższych składach wędlin wymieniali za kiszki lub kiełbasy. Tej ostateczności wszakże Władza pocztowa z listami powierzonemi jej pieczy niedopuści, w interesie korespondujących, jako ściśle związanym z regularnym biegiem interesów ogólnych, będących podstawą dobrobytu powszechnego i przedsięweźmie środki zaradcze, aby tak samo jak poprzednio za opłatą, tak i dziś bezpłatnie doręczane były listy adresantom.

łożono przy gminach kasy zaliczkowo-wkładowe, znalazłszy w nich kredyt i pomoc w potrzebie, pojęli pożyteczność tych instytucyi, i przystępują do nich chętnie i z zaufaniem, chwaląc je jako rzecz pożyteczną i wygodną. Dla większych właścicieli kasa przy gminie nie wystarczy, trzeba tu czegoś większego, trzeba znaczniejszych kapitałów.

A ileż to tych kapitałów bezczynnie spoczywa sobie w papierach procentowych, świadcząc o naszem lenistwie i krótkowidzeniu!!

ETAPY SUCHOTNICZE.

Listy z podróży Kazimierza Z.

(rok 1867 do 1869).

(Dalszy ciąg).

Wielka świątynia Ś-go Jana i Pawła z tejże samej epoki, różni się charakterem od poprzednich, a mianowicie jest ona w guście gotycko-włoskim który już zaczął następować po grecko-wschodnim. Zdaje się że to Mikołaj z Pizy plan tego kościoła przygotował. O tym ocju budownictwa włoskiego będę miał sposobność obszerniej wspomnieć w liście z Pizy, tu tylko nadmienię że w tym samym stylu a zatem również prawdopodobnie według jego planów budowany jest kościół dei Frari w Wenecyi jak i Ś-go Antoniego w Padwie.

Druga połowa XV wieku i początek XVI jakkolwiek zaledwie pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt lat obejmują, stanowią drugą epokę w której styl grecko-arabski i gotyk włoski nikną zupełnie. Jestto styl odrodzenia, *renaissance*, podobny bardzo do tegoż stylu we Francyi choć różniący się od niego w wielu szczegółach. Twórcami tej szkoły są Lombardowie, to jest cała familia nazwiska Lombardi, których było kilku, tak że nie podobna ściśle oznaczyć z imienia autorów wspaniałych gmachów i świątyń, będących dotąd jedynemi w swoim rodzaju ozdobami Wenecyi. Najstarszy z nich był Pietro założyciel szkoły, który budował wieżę zegarową, na placu Ś-go Marka i pomnik Danta w Rawennie. Jego synami lub kuzynami w dalszym i bliższym stopniu byli: Tuliusz, Juliusz Antoni, Marcin, Moro i Sante Lombardowie. Dziełami ich są: pomnik kardynała Zeno w kościele Ś-go Marka, konfraterya Ś-go Marka, kościół Ś-go Jana Chryzostoma, pałac Vendramin-Calerghi, pałac Trevisani, szkoła Ś-go Rocha i t. d.

Trzecia epoka najsławniejsza, odznacza się ogólnem wskrzeszeniem klasycznej, starożytnej architektury, odtworzonej za pomocą pracowitych studyów i poszukiwań, przy pomocy komentarzy Witruwjusza. Budowniczowie z tej epoki są po większej części erudytami i piszą dzieła, które do dziś są kodeksem, prawem obowiązującem, dla artystów świata całego. Vignole, Palladio, Scamozzi, Sebastyan Serlio są może więcej znani, z prac swego pióra, niż z gmachów które pobudowali.

W XVI wieku wystąpił ten zastęp mistrzów piszących i niepiszących jak: Michał Anioł, Bramante, Peruzzi, San Gallo, Ammanati, Sansovino i wielki Sanmichela twórca budownictwa wojennego a przytem tak obfity w pomysły w każdym rodzaju. Dzieła tych budowniczych tem scharakteryzować można, że choć ulegli prawidłom sztuki klasycznej, romańskiej to jednak umieli uniknąć pedanteryi i pogodzić własną twórczość i oryginalność pomysłów z symetryą, proporcyonalnością i stałemi regułami klasycyzmu. Kościoły z tej epoki najgłówniejsze są dziełami Sansowina, Palladia Seamozzego i Sanmicheli a z dotychczas egzystujących zacytować można jako najwspanialsze: Ś-go Franciszka della Vigna, San Giorgio Maggiore i Salvatore na Giudecca.

Po tej wspaniałej epoce, czwarta jest tylko naśladowaniem zepsutej nowej szkoły Rzymskiej a najznakomitszym z tej epoki architektem będzie Salvo o którym już wspomniałem. Jeszcze ona ma swoje piękne gmachy, które dla każdego innego miasta byłyby wspaniałe, ale dla Wenecyi są już bardzo skromne w porównaniu do innych arcydzieł. W każdym razie najwięcej z nich zasługuje na uwagę: pałac Rezzonico, kościół della Salute i sala teatru La Fenice.

Oprócz budownictwa wspomnieć należy o pracach które dzisiaj liczonoby do inżynierskich, ale które w epoce ich wykonania za dzieła architektoniczne uważano mianowicie: 1-o Forteca Ś-go Andrzeya na Lido, zbudowana na gruncie błotnistym, wpośród wody z taką trwałością że przez trzy wieki opiera się wszelkim wpływom czasu; 2-o Murazzi (wielkie mury) tak nazwana grobla dwumilowa chroniąca od zalewu lagun zbudowana w r. 1753 i 3-o Most olbrzymi łączący Wenecyę z lądem stałym po którym przechodzi kolej żelazna.

Most ten jedno z najwyższych dzieł inżynieryi współczesnej, równie jak i cała droga żelazna od Medyolanu do Wenecyi, budowa której połączona była z największemi trudnościami, jest dziełem inżyniera werońskiego Jana Milani a zbudowany został w cztery lata od r. 1871 do 1875. Ma on 3601 metrów 43 centymetrów długości a 38,000 metrów kwadratowych powierzchni, opartej na 204 filarach. Zdaje mi się że most ten jest jednem z najznakomitrzych dzieł dokonanych w naszem stuleciu, o którem jeśli nie można powiedzieć że było wielkiem pod względem artystycznym jak wiek XVI dla Włoch, to za to odznacza się wielkością pomysłów i uskutecznieniem ich iście tytanicznych.

A teraz czytelniku, jeśli obaczysz wszystko to o czem w tym liście pisałem jeżeli potem dla rozrywki pojedziesz na Murano zwiedzić fabryki świecących szkiełek i nitek szklannych Weneckich, obejrzysz ciekawe mozajki u Salviatiego, to już nie pozostaje ci co robić w mieście które dziś tylko przeszłością żyje. Chyba że jako osłabiony brać będziesz kąpiele morskie na Lido w Adryatyku, lub jako suchotnik spędzisz w Wenecyi październik a nawet listopad jeśli czas nie jest nazbyt dżdżysty, co się właśnie w roku pańskim 1867 przydażyło. Kuracya powietrzem w dalszym ciągu już w początkach listopada stała się dla nas niemożliwa i ostatni raz pożegnawszy wielki salon Wenecyi, plac Ś-go Marka z podpisanemi przez doktorów paszportami, puściliśmy się w nierozdzielnej trójce, Mortopulos, Delateau i ja do Mentony na dalszy ciąg zimy. Więc też kończę na tym wyjeździe mój list z Wenecyi, dziękując Czytelnikom jeśli mi do końca swej uwagi łaskawie udzielić raczyli, a roszcząc prawo do błogosławieństw tych wszystkich którym on do szybkiego a krzepiącego siły snu dopomógł; gdyż co do mnie wyznaję otwarcie, że jeśli coraz mniej spotykam książek, któreby naprawdę zająć mogły, to zato takich coby usypiały snem spokojnym bez przykrych mar lub zmory (nie spotykam prawie wcale. Najnudniejszy autor jeszcze tak jakoś podrażni ci nerwy, że choć ziewasz i książkę rzucisz sen cię odejdzie, lub we śnie zda ci się że z Darwinowskiemi praojcami siedzisz na drzewie, albo walkę o byt toczysz z szerszeniemi. Ha niech tam Bóg kocha wszystkich tych panów, może oni i bardzo mądrzy, ale mnie się coś zdaje że świat się psuje i gwałtownie potrzebuje reperacyi.

Może to jednak tylko w moich oczach, w oczach suchotnika spadłego z etatu, który jednak jako w zdaniu nieuparty, kończy swoję nawiasową jeremiadę, pamięci się Waszej Czytelnicy aż do przyszłego polecając listu.

O WIETRZE.

(Dokończenie).

Jak sprzeczność wód i lądów, tak też sprzeczność gór i dolin wywołuje podobnąż rozmaitość wiatrów dziennych i nocnych. Wierzchołki gór, otoczone powietrzem rzadszem, silniej przecieplającem, wystawione na bezpośrednie działanie promieni słonecznych, rozgrzewają się w dzień bardzo silnie, a udzielając ciepło swe otaczającemu powietrzu, wywołują z dolin prąd wstępujący ku górze; w nocy znów też same wierzchołki stygną prędko, a wraz z niemi sąsiednie powietrze, które stawszy się cięższem spływa w doliny i znosi im chłód, który jest zwłaszcza dotkliwy, gdy grzbiety gór pokryte są lodnikami. Wiatr wstępujący w niektórych dolinach alpejskich tak jest silny, że drzewa na stokach gór rosnące pochylone są w stronę gór. Wiatr nocny zstępujący nie jest w ogólności tak silny jak wiatr wstępujący; atoli w Alpach szwajcarskich drzewa orzechowe udają się na stokach gór lepiej niż w dolinach, gdzie są silniej wystawione na działanie zimnego wiatru po dnach dolin się przesuwającego.

Zresztą, wpływ niejednakowego ogrzewania różnych miejsc przez słońce wykazuje się nawet na równinach. Rano, gdy gwiazda dzienna wznosi się nad poziom, ziemia ochłodzona promieniowaniem nocnem ogrzewa się, a powietrze nad nią będące rozszerza się i odpływa w stronę zachodnią, w okolice nie dotknięte jeszcze działaniem promieni gwiazdy dziennej; powstaje stąd lekki wietrzyk wschodni, który w miarę, jak słońce wznosi się ponad poziom, staje się południowo-wschodnim czyli wieje ku północy, a wieczorem, gdy słońce przechyla się ku zachodowi, nadmiar powietrza rozgrzanego przez gwiazdę dzienną odpływa ku wschodowi. Tak więc, gdy powietrze nie jest wzburzone jakim wiatrem ogólnym, występuje lekki powiew, który się na poziomie obraca za słońcem. Na półkuli północnej obrót ten wiatru od wschodu ku zachodowi ma miejsce przez południe, na półkuli południowej dokonywa się przez północ.

W ogóle wszystkie wiatry miejscowe, charakteryzujące pewne okolice, mają początek w takim niejednostajnym rozkładzie ciepła; towarzyszące im jednak często okoliczności nadają im cechy odrębne. Tekim jest suchy wiatr egipski *chamsin*, przybywający z Sahary; nazwa jego oznacza „pięćdziesiąt", wieje on bowiem przez dwadzieścia pięć dni przed i po porównaniu wiosennem. Ogromne masy pyłu, jakie z sobą unosi, rozszerzają granicę Sahary ku wschodowi i zagrażają Egiptowi zasypaniem piaskami pustyni. Kwitnąca w starożytności i gęsto zaludniona Tebaida, zajmująca południową część Egiptu, dziś jest zupełną pustynią, z morza ruchliwego piasku wynurzają smutne swe szczyty kolumny świątyń i głowy olbrzymich sfinksów.

Wiatr pustynny krótkotrwały zowią Arabowie *samum*, to jest zatruty, przypisują mu bowiem własności trujące. Szkodliwe jednak działanie jego na rośliny i zwierzęta tłoma-

czę się dostatecznie wysoką jego temperaturą, dochodzącą do 50° C., nadzwyczajną suchością i niesłychaną masą drobnego piasku, jaki ze sobą sprowadza. Skoro się tylko samum podnosi, podróżny oddycha z trudnością, słońce się zaciemnia, wszystkie przedmioty okrywają się ponurą barwą fioletową lub ciemnoczerwoną, kurz przepełnia przestrzeń. Oddychać niepodobna, ludzie pokrywają twarz odzieżą, a wielbłądy zanurzają swe szyje w piasek. W ustach daje się czuć nieznośne palenie, pragnienie jest nieustanne, a sen niemożliwy. Karawana cała, schwytana straszliwym tym wichrem, może wyginąć do szczętu. Na szczęście samum nie trwa zwykle długo; po kilku godzinach przechodzi, rzadko wieje przez kilka dni. Samum najsilniej występuje w Arabii skalistej w lipcu. Słynnym jest dalej wiatr Włoch południowych *sirokko* (*scirocco*); zdaje się jednak, że we Włoszech nadają tę nazwę wszystkim wiatrom, suchym czy też wilgotnym, które z powodu wysokiej swej temperatury przygniatająco działają na organizm. Denerwujący wpływ tego powiewu południa uniemożebnia pracę, nie występują jednak zgubne skutki samumu, którego sirokko jest może tylko przedłużeniem. W Hiszpanii południowej gorący wicher zowią *solano*, początek jego jednak również trudno wyśledzić, jak i wiatru włoskiego.

W Szwajcaryi uciążliwy bardzo wiatr południowy nosi nazwę *fen* (*Föhn*), prawdopodobnie od wyrazu *favonius*, który u Rzymian oznaczał wiatr południowy. Jestto w ogóle wiatr silny bardzo, gorący, tak, że gdy fen występuje po południu, temperatura wieczorem o dziewiątej bywa o 10 stopni wyższą niż w południe. Z powodu swej gwałtowności roznieca często gwałtowne pożary; miasto Glarus podczas silnego fenu spłonęło zupełnie. W kantonach Szwyc i Uri wzbronionem jest podczas fenu palenie ognisk pasterskich w górach. Najciekawszą jednak własnością fenu jest jego nadmierna suchość; jeżeli wieje w czasie kwitnienia drzew, kwiaty więdną i opadają na ziemię, a siano w stogach zsycha się pod jego wpływem tak dalece, że się kruszy i rpzpada w pył.

Ta to suchość i upał, jaki ze sobą przynosi, nadają fenowi cechę gorących wiatrów pustynnych, ludowe mniemanie w Szwajcaryi wyprowadza go też z Sahary. Wiemy atoli, że wiatry od równika na północ idące w skutek obrotu dziennego ziemi zbaczają ku wschodowi, tak, że wiatry Sahary zdradzają wpływ swój dopiero nad morzem Kaspijskiem lub dalej jeszcze we wnętrzu Azyi. Natomiast wiatr równikowy, oblewający Europę środkową, bierze początek gdzieś w morzu Antylskiem, oblewającem brzegi północne Brazylii; w takim jednak razie wiatr ten przebiegając obszerne przestrzenie nad ciepłemi morzami zwrotnikowemi, winien się nasycać parą wodną i przybywać do Europy jako wiatr wilgotny południowo-zachodni, co też w ogólności ma miejsce rzeczywiście. Powstaje przeto pytanie, które zajmowało i zajmuje dotąd jeszcze wielu meteorologów, czy fen ma początek jakiszczególny, miejscowy, czy też może być uważany, pomimo swej suchości, za ogniwo wielkiego ziemskiego obiegu wiatrów.

Jakkolwiek kwestya ta nie jest zupełnie rozstrzygniętą, łatwo jednak wskazać można, że wiatr wilgotny, przebiegając przez grzbiety gór, stać się może suchym i rozpalonym. Wznosząc się bowiem po stokach gór, wiatr coraz bardziej się ochładza, już dla tego, że miesza się z zimniejszem powietrzem górskiem i styka się z przemarzłemi szczytami, pokrytemi śniegiem i lodnikami, już dla tego, że w górnych warstwach atmosfery, zostając pod mniejszem ciśnieniem, powietrze napływające rozszerza się, a w skutek tego rozszerzenia chłodnie. Przy takiem oziębieniu para wodna nie może się już utrzymać w powietrzu, które ją pochłonęło przy wyższej temperaturze; wydziela się w postaci chmur, deszcze zalewają szczyty gór. Ale wtedy ciepło, które utrzymywało wilgoć powietrza w stanie pary, oswobadza się i w części przynajmniej wynagradza stratę ciepła, jakiej doznało powietrze przy posuwaniu się w górę. Nie dosyć na tem; skoro wiatr z drugiej strony łańcucha gór schodzi w doliny, znajduje się znowu pod silniejszem ciśnieniem atmosferycznem, zagęszcza się a w skutek tego ogrzewa, co wraz z oswobodzonem poprzednio ciepłem utajonem wystarcza do wytłómaczenia wysokiej temperatury fenu, który pozostawiwszy przeważną część swej pary w postaci śniegu na grzbietach gór, musi być zarazem bardzo suchym. W ten sposób dostają Szwajcary palącego klimatu zwrotnikowego. Podobneż zjawiska występować mogą wszędzie, gdzie wiatry przebiegają wysokie i zimne grzbiety gór; nie inny początek zdają się mieć *burany* syberyjskie.

W okolicach południowych Francyi istotną klęskę stanowi wiatr nazywany „mistrzem“ (*mistral*). Źródłem jego jest oziębienie powietrza górnego przez lodniki Cewennów, występuje on przeto głównie w zimie i na wiosnę. Potoki powietrza oziębionego zbiegają z gór z gwałtownością taką, że często wykorzeniają drzewa. Groźnego tego mistrza uważali Gallowie rodańscy za najgroźniejszego boga i starali się go ułagodzić ofiarami, a Cymbrowie uciekli przed tym groźnym nieprzyjacielem, jak przed armią.

Do wiatrów, które z powodu szczególnych własności otrzymały właściwą nazwę, należy jeszcze *bora*, nawiedzająca wybrzeża północne morza Adryatyckiego, a przez Słowian tamecznych zwana *buryą*. Jestto wiatr północno-wschodni, gwałtowny, zimny i suchy, powstający prawdopodobnie z passatu biegunowego, który zatrzymany i zagęszczony przez alpejskie pasmo Kraszu (Karstu), wyrywa się w gwałtownych podskokach przez wązkie jego szczeliny. Podobnaż burya stanowi grozę wschodnich brzegów morza Czarnego, zwłaszcza okolic Noworosyjska. Straszny ten wiatr, groźniejszy pod niektóremi względami od uraganów antylskich, wieje niekiedy przez trzy dni z taką siłą, że ludzi wywraca i stacza ich do najbliższej zawady. Nieznośnym jest zwłaszcza w zimie, gdy temperatura opada niżej 20° C. Woda wyrzucona przezeń na morzu jakby korą lodową okrywa natychmiast statki, które pod tym ciężarem często ostać się nie mogą i opadają na dno morskie, gęsta mgła otacza cały widnokrąg a na okrętach żadnego środka ostrożności przedsięwziąć nie podobna.

Nie będziemy nużyć uwagi czytelnika dalszem mnożeniem przykładów; wszędzie niemal okolice górskie i morskie mają szczególne, właściwe sobie wiatry, noszące miejscowe jakieś nazwisko. Początek ich jednak, pamiętajmy, jest w ogólności jeden i ten sam: niejednostajne ogrzanie okolicy przez słońce.

S. Kramsztyk.

ŚCIENNE MALOWIDŁA
w gmachu rządu gubernialnego
w KIELCACH.

Dzisiejszy gmach rządu gubernialnego w Kielcach, należał niegdyś do uposażenia biskupów Krakowskich. Zbudowany on jest na piętro, w stylu włosko-francuskim w drugiej połowie XVII wieku. Główny korpus z dwoma majestatycznymi frontami, schody główne z obu stron ozdobione trzema arkadami z ciemnego marmuru nakrapianego czerwonymi żyłkami, odrzwia na parterze również marmurowe.

Nad arkadami mieszczą się herby pozłacane: Zadzika, Korab pod infułą biskupią, Gębickiego, Nałęcz; kardynała Jana Aleksandra Lipskiego, Grabie i Załuskiego, Junosza.

Po lewej ręce głównego wchodu, schody z ciosowego kamienia prowadzą na piętro. Przedpokój i sala dzielą cały gmach na dwie połowy; północną — zwaną apartamentami królewskimi i południową rezydencyą biskupów.

Obszerna sala zwana biskupią, ozdobiona portretami biskupów, oświetlona trzema wielkiemi oknami o 48 szybach. Sufit belkowany zdobią al fresca i arabeski. Nad oknami na ścianie mieszczą się herby Królestwa, krakowskiej dyecezyi, kapituły i herb Zadzika fundatora gmachu, zwanego zamkiem biskupów. Poniżej portrety pierwszych arcybiskupów i biskupów, poczynając od Prochora rodem Włocha herbu Krucyni od roku 966—985 aż do Jana Prandoty z Białaczewa herbu Odrowąż (1242—1265) w liczbie 21, każdy mający wysokości około 20 cali. Po prawej ręce od wejścia portrety umieszczone są dwoma rzędami, w górnym 12 poczynając od Pawła z Przemankowa h. Półkozie (1265—1293) do Wojciecha h. Jastrzębiec (1412—1423). Wysokość ich łokieć jeden cali dwadzieścia jeden, szerokość łokieć cali trzynaście. Na ścianie wchodowej portrety biskupów: Zbigniewa Oleśnickiego kardynała (1423 — 1454) (który pierwszy począł się mianować księciem Siewierskim), za nim następnie wszyscy biskupi krakowscy aż do Feliksa Pawła Turskiego h. Rogala, (zmarłego w 1801 roku); aż do Jana Chojeńskiego h. Abdank (1537—1538) w liczbie jedenastu. Po lewej ręce rozpoczyna portret Piotra Gamrata h. Sulima (1538—1545) a kończy się na Janie Albrychcie królewiczu h. Snopek (1633—1635) w liczbie 12.

Te pięćdziesiąt sześć portretów dawnego pędzla, współczesne budowie zamku malował Tomasz Dolabelli, następne zaś od Jakóba Zadzika (1636 — 1642), aż do Karola Skorkowskiego (1830—1855) malował w dolnych rzędach na prawej i wchodowej ścianach Aleksander Rycerski [1]) jak dowodzi napis następujący: „Aleksander Rycerski odnawiał w r. 1861, 56 dawnych portretów biskupów krakowskich, wymalował w r. 1863, 16 nowych portretów, począwszy od Jakóba Zadzika, aż do Karola Skórkowskiego. Za roboty powyższe zapłacono ze Skarbu Królestwa.“

Z pomiędzy siedmdziesięciu dwóch portretów, odznaczają się lepszem wykończeniem: Szlązaka, Oleśnickiego, Andrzeja Lipskiego, Jakuba Zadzika i Szyszkowskiego fundatora Karczówki.

Na każdym z rzeczonych portretów mieści się data dostąpienia godności biskupiej, herb i opis ważniejszych czynów dokonanych w ciągu zasiadania na stolicy biskupiej. Wszystkie malowane na tynku, olejno, w postawie en face, do połowy figury lub w całej postawie.

Po prawej ręce z sali mieszczą się apartamenta północne zwane królewskimi, na pamiątkę zapewne zamieszkania ich przez Karola XII króla Szwedzkiego w roku 1702. Sufity ich zdobią następne obrazy historyczne:

1. Środkowy największy, owalny, obwie-

[1]) Aleksander Rycerski umarł w Paryżu w roku 1866 w dniu 30 listopada, urodził się zaś we wsi Speranda dawnym województwie sandomierskiem.

dziony ramą snycerskiej roboty, pozłacany malarskiem złotem. Przedstawia sejm po zawarciu Sztumfordzkiego pokoju ze Szwecyą w roku 1635. Król Polski przyjmuje powinszowanie od Cesarza Niemieckiego Ferdynanda II składane mu przez posła cesarskiego księcia Aleksandra Grejfenetau. Karton przedstawia króla Władysława IV stojącego pośrodku pod baldachimem, w ubiorze hiszpańskim, bogato złotem bramowanym, w białych botfortach. Obok tronu trzech posłów, w czarnych hiszpańskich ubiorach, jeden z nich na przodzie mówi z wielkim uszanowaniem; za nimi trzej dygnitarze, ostatni z nich w ponsowym ubiorze. Po lewej sędziwy starzec, w delii bramowanej futrem, obok niego mężczyzna w profilu, ubrany ponsowo, podobny do hussarza z buńczukiem w ręku. Nieco opodal wsparty na szabli Rafał Leszczyński, wojewoda bielski—dalej senatorowie, w ogóle około czterdziestu osób.

Po rogach głównego obrazu cztery mniejsze.

2. Pierwszy z tych, przedstawia Kremlin w Moskwie (zdaje się w 1611 roku) z jego wieżami, bramą Zbawiciela, cerkwiami, dzwonnicą Jana Wielkiego i innemi gmachami XVI wieku. Pod murami Kremlina widnieją kolorowe namioty.

3. Drugi, traktat zawarty w Wiazmie nad rzeką Polanowką w dniu 27 maja 1634 roku, mocą którego Władysław IV zrzekł się praw swoich do tronu moskiewskiego, a Car Michał Fedorowicz, wszelkich pretensyi do Inflant, Estonyi, Kurlandyi, Smoleńska, Siewierza, i Czernichowa, a nadto koszta wojenne zapłacił królowi. Karton taki. W około stołu zasiadają dygnitarze w ubiorach czarnej i ponsowej barwy w liczbie dziewiętnastu osób, przed nimi traktat leży na stole. W tej ogólnej grupie zwraca powszechną uwagę ruski bojar w narodowym ubiorze, siedzący za stołem, jako mający w tem czynny udział—w dali masa asystujących mężczyzn.

4. Trzeci, wyobraża miasto opasane murem położone na górze, po prawej stronie w profilu górzysta okolica zarosła lasami, po obu stronach kawalerya, na dole dwie chaty włościańskie, obok nich kolorowe namioty, w dali kapliczka i wojska z rozpuszczonym sztandarem.

5. Czwarty, przedstawia okolicę górzystą, mnóstwo wojska z obu stron z rozpuszczonemi chorągwiami, namioty porozrucane w nieładzie. Na przedzie dwóch mężczyzn poufnie zbliżeni ku sobie. Ostatnie dwa obrazy pędzla flamandzkiej szkoły.

W następnym salonie:

6—9. W czterech narożnikach umieszczone napisy u góry: terra, ignis, aqua, aer; wyobrażają cztery żywioły.

10. W samym środku największy przedstawia pożar Moskwy, właściwie Troickiej Ławry i bitwę pod nią 29 marca 1611 r. w której poległ Maciej, starszy brat biskupa Zadzika. Po prawej widnieją gmachy w płomieniach, w dali walczące wojska.

W przyległej komnacie, wytworny sufit na nim obraz, objęty w pozłacane ramy snycerskiej roboty.

11. Wielki obraz z napisem *Arianismus proscriptus*, przedstawia sąd Aryanów, odbywający się w dniu 1 maja 1638 roku, na sejmie warszawskim, mocą którego Aryanie wypędzeni z kraju, kościoły ich, drukarnia i szkoły założone w roku 1602 przez Jakóba Sieniawskiego pod nazwą Sarmackich Aten. Karton taki: Na tronie pod baldachimem zasiada król Władysław IV w kapeluszu na głowie. Po lewej do króla na przedzie posiwiały Zadzik, ma mowę do króla na czele deputacyi złożonej z kilkunastu osób, po prawej w krześle spowiednik królewski Kazimierz Sarbiewski, za nim kleryk trzymający wielki krucyfiks—dalej jezuici, poeci, około kilkudziesiąt osób. Wogóle ze sto osób jest ugrupowanych w obrazie. Z boków baldachimu umieszczone są dwa krajobrazy.

12. Z lewej przedstawia część Warszawy, widzialną z okien gmachu sejmowego.

13. Z prawej miasteczko Raków, (w dzisiejszej gubernii radomskiej, na północ Szydłowa) położone w okolicy górzystej, siedziba Aryanów, gdzie utrzymywali zbór, drukarnię i szkoły.

14—17. W narożnikach cztery pory roku noszą na sobie piętno szkoły francuskiej XVII wieku.

Na lewo obszerna sala z okien przedstawia malowniczy widok na okolicę. Tutaj mieścił się księgozbiór Andrzeja Załuskiego, zasiadającego na stolicy biskupstwa krakowskiego od r. 1746 do 1758, który dał początek słynnej bibljotece braci Załuskich wywiezionej do Petersburga.

Wogóle wszystkie obrazy znajdujące się w zamku są dobrego pędzla i przedstawiają wiernie nietylko ówczesne ubiory, ale i postacie. Główniejsze są pędzla Tomasza Dollabelli (właściwie Della-Bella) rodem Włocha urodzonego w mieście Bellum, Rzeczypospolitej Weneckiej, nadwornego malarza Zygmunta III, Władysława IV i Jana Kazimierza. Dollabelli mieszkał w Polsce lat piędziesiąt, umarł 1650 roku.

J. L. Kaczkowski.

Z DOMU I DLA DOMU.

— **Wieprzowina.** — Najpożywniejsze mięso ze wszystkich zwierząt domowych, produkuje się z trzody chlewnej, a dla klas uboższych jest najekonomiczniejszym, a przytem najulubieńszym pokarmem, używanym w najrozleglejszy sposób. Tak średnia jako i niższa klasa spożywa wieprzowinę gotowaną, pieczoną, duszoną, smażoną, marynowaną, wędzoną, której każda część z wieprza dowolnie z korzyścią daje się zastosować mniej więcej, dla całej zaś masy ludności stanowi najwłaściwszą omastę jarzyn i legumin.

W wykwintniejszych jednakże kuchniach nader szczupłe ma zastosowanie, a Żydzi i ludy Wschodnie brzydzą się nią, jako pochodzącą z nieczystego zwierza, będącego wedle ich pojęć wyobraźnikiem szatana. Mniemanie to wyniesionem zostało z starożytnego Egiptu, gdzie ówcześni Magowie usymbolizowawszy, ciemność, martwość, zimno, pleśń, uleć (para wodna) rdzę, chorobę, śmierć w postaci Buty, uczyniwszy ją tym sposobem najstraszliwszą dyablicą swego piekła, malowali na obrazach w postaci białogłowiej poczwary, z ciałem świni, ze łbem hyppopotama, ze lwiemi łapami tylnemi, z ludzkiemi rękami i mnóstwem cyc obrzydliwych [1]). Dla tych to a nie innych przyczyn, Żydzi zamieszkali pomiędzy nami nieużywają na pokarm wieprzowiny, choć wedle pojęć miejscowego żywiołu, wyobraźnikiem dyabła jest Niemiec z różkami na głowie, przykrywający je trójgraniastym kapeluszem, w kusym fraczku i harcaplem z tyłu. Jak Żyd zatem odwraca wzrok swój od wieprzowiny, tak wieśniak nasz na widok cudzoziemskiego stroju, powtarzając z niekłamaną wiarą na ustach:

Nie czyń grzechu nieczystego
Strzeż się stroju niemieckiego.

Wieprzowina szczególnie w naszym klimacie, przeważnie dla klas roboczych jest wybornym pokarmem jako dzielnie przyczyniającem się do utrzymywania ciepła ciała, uzupełniania ubytku organizmu, a w porze zimniejszej, gdzie powietrze jest więcej ścieśnione, dostarcza potrzebną ilość środków do oddychania. Mimo jednakże tych zbawiennych skutków, pożywanie jej powinno być nader uwzględnionem. Pojawienie się ostatnimi czasy w Niemczech trychnin w mięsie wieprzowem zmniejszyło komsupcyą słoniny surowej i w ogóle wędlin nie gotowanych. Doświadczenia jednakże lekarskie przekonały, że gotowana, smażona i pieczona wieprzowina, mająca w sobie trychniny, nie jest bynajmniej zdrowiu szkodliwą, gdyż wysoki żar ciepła, niszczy i zabija wszelkie zarodki trychnin, groźnie dojrzewających w żołądku ludzkim. Szkodliwą jest również wieprzowina węgrowata [2]), gdyż z niej tworzy się w człowieku straszliwy pasożyt, soliterem, (taenia) zwany. Tych jednakże ewentualności, tak groźnych dla zdrowia i życia ludzkiego, nader łatwo uniknąć w następny sposób:

Na dwa tygodnie przed zabiciem wieprza, dać mu naczczo ćwierć łuta *antimonium crudum*, byle nie więcej, gdyż można zwierza otruć, zarobić na ciasto z żytniej mąki wielkości gęsiego jaja, dopilnować aby połknął. Trzymać w chlewie przez trzy dni, dając rzadkie i letnie jadło, a na wieczór gęste, aby dostał rozwolnienia, a mięso i trzewia będą zdrowe, czyste i nieszkodliwe zdrowiu ludzkiemu. Maciorom prośnym również nie zadaje się tego lekarstwa, gdyż zwykle od niego zdychają.

---

[1]) Wedle ówczesnych pojęć władcą egipskiego piekła był Babis, zwany od Geków Tyfonem. Jestto słońce, ale złe, woda lub uleć (para) rozpuszczająca się w powietrzu i przylegająca do słońca, a sprawująca upały lub nawałnice. Wielkim on wrogiem Ozyrysa i walczy z nim nieprzestannie. Jako w Ozyrysie obecni są wszyscy bogowie greccy, tak w Babisie, wszystkie Tytany i Hekatonthiry. Co tylko okropnego i bezecnego po mitologiach innych, tego wyrazem jest Babis sam jeden. Bóg ten jest maści czerwonawej a łożem jego morze Czerwone. Wcielił się w skórę człowieczą na ziemi, zabił brata Ozyrysa, pierwszego króla Egiptu i był jego następcą. Przedstawiano go w postaci wieprza, krokodyla, hyppopotama, lub osła z siercią wstecz obróconą, jako kruka z rosnącem na spak pierzem, jako węża pokazującego z paszczy strzałkę. Miał małżonkę imieniem Buta, gorsza tysiąckrotnie od męża. Gdzie Babis sam niepodoła, tam wyprawia Butę. Tu zatem źródło znanego przysłowia „gdzie dyabeł nie może tam babę pośle,“ jasno przekonywa iż nie wyrosło na naszej rodzinnnj niwie, ale przywędrowało od obcych i zagnieździło między nami. Buta co miesiąc odbywa na niebie straszliwy bój z Izydą, sprawujący cztery księżycowe zmiany. Sprzyja nocnym złodziejom i nieczystej miłości; stąd Grecy zwą ją złą Artemidą i brzydką Afrodytą. Wymyśliła środek i podała radę, jako Ozyrys miał być pozbawion życia. Z tego powodu Grecy przezwali ją Niką. Wciela się w zwierzęta i żyje na ziemi, jako żona Babisa, a później królowa Egiptu. Owocem tego małżeństwa były wszystkie ludy nieczyste to jest nie będące Egipcjanami, a imie pierworodnego, zatem najmilszego rodzicom a tem samem ze wszystkich ludów najbezecniejszego był Judeusz. Był on ciałem i duszą nieczysty, niechluj nad niechluje, ożralec, pijanica i rozpustnik. Wedle staroegipskich tradycyi miał być protoplastą dzisiejszych Żydów i gdy po wypędzeniu Babisa z Egiptu, wypędzono z kraju również i jego dzieci, wtedy szkaradny ojciec przyjął swego syna Judeusza w morzu Czerwonem i przeprowadził swobodnie na drugą stronę.

[2]) Wągier, albo Węgier (Cisticerus), robaczek należący do gromady wewnętrznych, pęcherkowatych, mieszkający w tkance komórkowatej zwierząt, u trzody chlewnej przedstawia się w postaci krostek białych twardych, podobnych do ziarn, a powstających w mięsie żywego zwierzęcia w stanie chorobliwym. Dostawszy się do przewodu pokarmowego u człowieka wtedy wysuwa główkę i szyjkę jaka się mieści w jego zarodku w postaci pęcherka cieczą wypełnionego, pęcherz zaś zostaje strawiony w przejściu przez żołądek, tak iż do kiszki dostaje się sama tylko główka z szyjką. Główka za pomocą swego uzbrojenia, to jest czterech przysawek a często i haczyków w okółki ułożonych, przyczepia się do wewnętrznej ściany kiszki, poczem następuje dalszy rozwój, polegający na wyrastaniu pierścieni na swobodnym brzegu szyjki. Ponieważ no-

— **Baranina.**—Mięso baranie jest bez porównania pożywniejsze i posilniejsze niż cielęcina, w kuchni jednakże ma daleko mniejsze niż tamto zastosowanie. Całe osierdzie zbyt małej wartości, wątróbka sucha i twarda, żadnego prawie nie przedstawia pożytku. Łebek ledwie jako przyprawa przez biedniejszą ludność do zgotowania barszczu, lub niektórych jarzyn, mianowicie kapusty, brukwi, rzepy, marchwi i t. p. dla nasycenia ich pewną ilością tłuszczu może być użytym. Nóżki wyłącznie do fabryk kleju stolarskiego, a flaczki na struny lub zakonserwowane do wyrobu tak zwanych kiełbasek parowych lub wiedeńskich.

Mięso jednakże baranie daje się znacznie dłużej przechowywać i pod tym względem może się równać z wołowiną. Ludy Wschodnie najwięcej używają baraniny, głównie dlatego, że łatwiej znosi obfitszą przyprawę czosnku i cebuli niż mięso z wszelkich innych zwierząt domowych pochodzące, które to rośliny są dla nich największym specyałem. W Europie Żydzi, Niemcy, Francuzi, Włosi i Hiszpanie również obficie dodają czosnku i cebuli, jako przyprawę do baraniny. Nasz smak różni się w tym względzie zastępując wschodnie przysmaki, kuchennemi korzeniami.

Najsoczystsze a tem samem najsmaczniejsze mięso daje owca pospolita (ovis rusticus) zwana powszechnie świniarką. Dla producentów żywego mięsa, najkorzystniej krzyżować powyższą maciorkę z baranem porodu Southdown, gdyż karmione tylko sianem i niewielką ilością kartofli, przedane być mogą w piętnastym miesiącu życia swego na rzeź, nawet w stanie chudym, po tej samej cenie co braki opasowe. Jeśli zaś będą tak karmione, iż waga ich dojdzie dziewiędziesięciu funtów w czternastym miesiącu ich życia, tam nietylko spożyta karma ale i praca hodowcy, sowicie się wynagrodzi.

Różnież i nowo wprowadzona rasa owiec Romanowskich rokuje dla kuchni naszych obfity, smaczny i pożywny nabytek, w ogóle bowiem mięso pochodzące z owiec wysoko poprawnych jest nieporównanie niższych pokarmowych własności, aniżeli z owiec ordynaryjnych, grubowełnistych. Okazy ras rzeczonych, czytelniczki nasze miały sposobność oglądania na zeszłorocznej wystawie Przemysłowo-Rolniczej w Warszawie i przekonania się o ogromie ich budowy, olbrzymim wzroście a tem samem odpowiedniej wadze jatkowej, tyle pożądanych warunkach w sztuce kulinarnej.

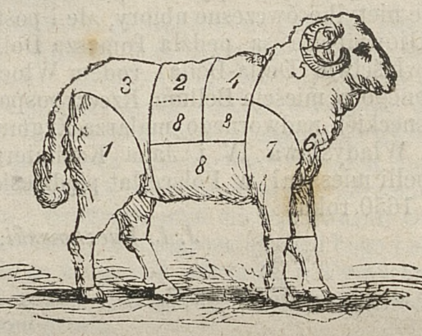
Baranina dzieli się na następne gatunki i daje poniżej wymienione użytki.

1. Dyszek. Do wędzenia lub marynowania bierze się z świeżo zabitej owcy—do użytku zaś odręcznego powinien odleżeć się w lodowni lub zimnej piwnicy parę dni, aby skruszał doskonale, a w zimowej zaś porze przynajmniej z ośm dni. Służy do najrozleglejszych użytków: jak pieczenia, duszenia, smażenia, gotowania. Można z niego wyrabiać sznycle, kotlety, klopsy, a całość daje znaną powszechnie pieczeń baranią.

2—4. Comber—przyrządzony stosownie, daje smaczną pieczeń znaną pod nazwą *à la Sarna*, lub też na kotlety jako górka.

3. Pachwina—część flakowata do gotowania w jarzynach, dla nadania im lepszego smaku i pożywności.

Rzeźnicze przecięcie barana z wskazaniem gatunków mięsa.



5. Kark—duszony, lub na kotlety siekane, klopsy, pieczeń rzymską, szwabską. Służy również do wyrobu kiełbasek parowych lub wiedeńskich w połączeniu z innym mięsem.

6—7—8. Mostek z pół-łopatką przednią, do gotowania.

---

we pierścienie zawsze wyrastają na brzegu szyjki, przeto starsze pierścienie, coraz bardziej zostają odsunięte od główki, a tem samem każdy pierścień tem jest starszy im więcej jest oddalonym od przedniego końca robaczka. W pierścieniach rozwijają się stopniowo części i oznaki płciowe, a że tylne pierścienie są najstarsze, napotykamy więc w nich najwyraźniej rozwinięte organy rodzajne. Ostatnie pierścienie ciała po zupełnem dojrzeniu zawartych w niem jajek, odrywają się, wychodzą na zewnątrz wraz z zarodkami, i tym sposobem rozpoczynają się wędrówki pasożyta. Według tego, widocznem jest, że pod względem wzajemnego zarażenia się soliterem, w najściślejszym pozostają związku zwierzęta karmiące rozwiniętego solitera, oraz zwierzęta trapione przez węgry czyli wodnicę, które spotykają się u zwierząt tak roślinożernych jako i wszelkich innych, dojrzałe zaś solitery, u istot karmiących się właśnie temi zwierzętami lub też pozostającemi z niemi w najbliższych stosunkach. Cysticereus cellulosae, zamieszkuje mięśnie świni, oraz mięśnie, mózg i oko człowieka; odpowiadający tej wodnicy soliter (Taenia solium) mieszka w kiszce cienkiej człowieka. Taenia mediocanelleta obiera siedlisko w kiszkach człowieka, a jej wodnica czyli węgr w mięśniach bydła rogatego. Naukowe badania Siebolda, Kuchenmeistra, Van Benedena, Leuckarta i innych tak wyczerpuiąco wyjaśniły historyą rozwoju i wędrowek soliterów, że o jej rzeczywistości ani na chwilę powątpiewać nie można. W człowieku znaleziono siedem gatunków solitera: dwa należą do rodzaju Bothriacyshalus, pięć zaś do rodzaju Taenia.

ROZMAITOŚCI.

Luźne notatki z podróży odbywanych po kraju

przez

J. L. Kaczkowskiego.

Źródeł mineralnych mających własności lecznicze znajduje się znaczna ilość jak między innemi: *Falborek* o dwie mile od Włocławka skuteczne na choroby skórne, którego woda nie była poddaną analizie chemicznej. W *Szczerbakowie* (g. kielecka) woda słona; pod *Wiślicą*, żelazna; w *Goździkowie* (radomska), w *Kobielach* i *Myśliwczowie* (petrokowska) w *Nałęczowie* (lubelska). Dotąd jednakże urządzone zostały dla użytku publicznego:

1. W Ciechocinku guberni warszawskiej, wody słone używane do picia a głównie na kąpiele. Wody ciechocińskie okazały się skutecznemi przeciw reumatyzmowi, katarom przewlekłym, wodnej puchlinie, róży chronicznej, wyrzutom skórnym, skrufołom, artrytyzmowi, zboczeniom w drogach trawienia, oddechowych, macicznych i t. p.

2. W Busku gubernii kieleckiej, silnie siarczano-słone do picia i kąpieli. Przynoszą skuteczną pomoc w zołzach, wysypkach skórnysh, gośćcu i durze, w nerwobólach, porażeniach, obrzmieniach, zawałach trzewiów i t. d.

3. W Solcu powiecie stopnickim, wody silne słono-siarczano-alkaliczne z jodkami i bronkami. Okazują się szczególnie skuteczne we wszystkich formach zołzów, w gośćcu i durze przewlekłym, w wysypkach skórnych, w nerwobólach i porażeniach, w histeryi i hipochondrji, w otruciach przewlekłych rtęcią lub ołowiem, w obrzmieniach, zawałach i stwardnieniu trzewiów brzusznych i innych.

4. W Sławinku pod Lublinem.

Dzisiejsze Królestwo Polskie, według ostatnich obliczeń i pomiarów topograficznych dokonanych pod kierunkiem pułkownika Strzelbickiego, zajmuje powierzchni mil kwadratowych 2312,20; takichże wiorst 111,875 a 127,346,4 kilometrów. Pod względem naturalnego swego położenia dzieli się na trzy kotliny, mianowicie: kotlina Warty zajmująca ogólnej powierzchni całego kraju $^{2}/_{10}$ części; Wisły $^{7}/_{10}$ i lewa dolina Niemna w $^{1}/_{10}$ części—do których wszystkie rzeki i strumienie tak obficie skrapiające kraj cały, zlewają swe wody.

Oprócz bieżących wód liczymy w kraju naszym około 950 jezior, mających rozległości włók 1588, morgów 25. Jeziora te oraz wszystkie u nas rzeki i strumienie powstały skutkiem zmniejszania się orbity ziemskiej, a stąd po prawej stronie Wisły cofnięcia się wód Baltyku, a po lewej opadania zwierciadła wód jeziora Gopła, a podwyższania się stosunkowo lądu doliny Warty.

Poprzednie granice Baltyku oznacza linia ułożona z rozrzuconych kamieni rumowych, okrągławych ułomków skał szwedzkich i finlandzkich. Granica ta idzie od północy z Niemiec przez Harc, góry Kruszcowe, Olbrzymie i nasze Łysogóry idąc na północ na Szydłowiec, Iłżę, Ostrowiec, potem na południe między Opatowem, gdzie Karwów za zdrojem Kadłubka i tufem wapiennym z niego osiadłym, a Sandomierzem idąc lewym brzegiem Wisły, wyżej ujścia Raby; gdzie przechodzi Wisłę, wkracza do Galicyi Austryackiej na Tarnów, Rzeszów, Jarosław; wchodzi do Królestwa na Tomaszów Ruski, Tyszowce, Kryłów,—następnie w Cesarstwie Rosyjskiem od Włodzimierza na wschód Bugu, ku źródłom Prypeci. Potem Prypecią na Morzy z Rzeczycę, Putywlo, Kaługę, Wroneż, Niższy Nowogród, pod Ural skąd między Peczorą i Mezeniem sięga morza Lodowatego.

Granica rzeczonych kamieni najwymowniej świadczy, że niegdyś dotąd sięgało morze Baltyckie łączące się z oceanem Lodowatym, które z lodami od Skandynawii płynącemi osadzało na południowym brzegu odłamy skał z tamtejszych Alp naniesione. Toż samo i dziś ma miejsce. Corocznie na południowe brzegi Baltyku na wiosnę przybywają z lodami od Szwecyi ułamki skał rozbitych morzem, burzami, zlasowanych powietrzem a zaokrąglonych długą podróżą z gór do morza.

Epokę kataklizmu Baltyku odnieść należy do czasów ostatniej powodzi zwanej cymbryjską, jaka miała miejsce na lat 190 przed erą dzisiejszą, gdyż wedle świadectwa kronikarzy arabskich i bizantyjskich w IV wieku po Chrystusie, Rzeczpospolita Nowogrodzka była archipelagiem, której mieszkańcy obok innych zajęć trudnili się pirateryą na rozległych wodach.

OD REDAKCYI.

Dzisiejszy numer **„Ogniska Domowego“** jest ostatnim, jaki na rachunek byłego Wydawcy pana B. Korpaczewskiego odbierają następujący PP. Prenumeratorowie:

WW. *Ks. Beinarowicz.*
„ *Ks. Borkowski.*
„ *Hryniewicz Henryk.*
„ *Jankowski.*
„ *Lebdowicz Antoni.*
„ *Ks. Limazewicz Sylwester.*
„ *Ks. Niewiarowski Tomasz.*
„ *Orlicki.*
„ *Ks. Orłowski Franciszek.*
„ *Przewłocka Emma.*
„ *Rebińska Karolina.*
„ *Rogozińska Anna.*
„ *Rożałowski Cezar.*
„ *Rudziński Stanisław.*
„ *Szpicbart.*
„ *Ks. Turczynowicz.*
„ *Tłuchowski Dyonizy.*
„ *Zborowski Józef.*

Którzyby zatem z wyżej wymienionych PP. Prenumeratorów życzyli sobie odbierać nadal bez przerwy **„Ognisko Domowe“** raczą nadesłać pod adresem redakcyi prenumeratę w ilości rubli srebrem *dwa* za miesięcy cztery t. j. do dnia 1 stycznia r. p.; w tym bowiem czasie ukończymy pierwszy tom naszego wydawnictwa.

TREŚĆ NUMERU: **Na mylnej drodze** powieść, przez Krystynę Narbuttównę, (c. d.). — **Natura i Ludzkość**, wiersz.— **Kredyt rolny.** — **Etapy suchotnicze.** Listy z podróży Kazimierza Z. (dalszy ciąg). — **O wietrze**, skreślił S. Kramsztyk. (dokończenie). — **Ścienne malowidła**, w gmachu Rządu gubernialnego w Kielcach, skreślił J. I. Kaczkowski.— **Z domu i dla domu**, — **Rozmaitości.** Wodcinku: **Z kroniki dwutygodniowej.**— W dodatku **Przysięga Debenhama** ark. 22.

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr, 57 Дозволено Цензурою, Варшава 13 Августа 1875 г. Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

AMELIĄ B. EDWARDS,

z angielskiego tłómaczona.

Tom pierwszy.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 47).

Noc przeszła bez innych wypadków i o piątej nazajutrz rano, *Ptak Burzy* był tylko o osiem godzin od miejsca swego przeznaczenia. Kapitan i sternik obydwa rachowali że nie tak szybko się posuną i dużo więcej czasu przeznaczyli na zboczenia z drogi i nieprzewidziane wypadki, i nie mało byli zakłopotani znajdując się tak blisko kresu podróży. Niepodobna było dalej postępować, bo tylko pod opieką nocy można było mieć nadzieję prześliznąć się przez straż nieprzyjacielską, a stać na miejscu było równie niebezpiecznem. Jednakowo nie było wyboru i po krótkiej naradzie postanowili zatrzymać się, mając zawsze maszyny gotowe żeby powtórzyć obroty z dnia poprzedzającego gdyby się jaki statek ukazał.

Mgła się rozeszła i dzień był prześliczny. Niebo wyglądało jak ogromna kopuła ciemnoniebieska po której słońce, ciskając ogniste promienie, posuwało się ku zenitowi. Na okręcie, gdzie wieleby dano za dzień ciemny i pochmurny, mszczono się przeklinając blask słońca, dopóki długie, czarne kłęby dymu na widnokręgu, nie zwiastowały statku parowego w bliskości i nie musiano czem prędzej uciekać w przeciwnym kierunku.

Kłopoty ich gdy raz się zaczęły, ciągle się ponawiały. Czasami była to fregata, czasami statek bandlowy, albo korweta, ale ciągle cóś ich niepokoiło i *Ptak Burzy* bez przestanku musiał sterować to w jednę to w drugą stronę kompasu.

Ku wieczorowi twarz pana Zacharjasza Polter przybrała wyraz poważny.

— Chyba nie będziemy wiedzieli gdzie jesteśmy, jak ta zabawa dłużej potrwa, powiedział. Nie sposób się nie pomylić w rachunkach kiedy się tak przez cały dzień umyka i z drogi zbacza.

Ale nie mogło być inaczej. *Ptak Burzy* musiał się wymykać i z drogi zbaczać, jeżeli chciał ujść niebezpieczeństwa, a i tak pomimo ciągłego umykania i zbaczania, zdawało się że prawie cudem dotąd nie został odkrytym.

Nareszcie, gdy wieczór się zbliżał i słońce spuszczało się ku zachodowi, zaczęto się przygotowywać do stanowczego działania. Kapitan i sternik, za pomocą map i ołowianki dokładnie poznali obecne położenie i pan Zacharyusz Polter wiedząc dokładnie godzinę wejścia do portu Charleston, wyrachował co do minuty chwilę w której trzeba było przebyć wał.

— Nie źlebyś zrobił kapitanie, powiedział, gdybyś zmienił tę białą kamizelkę na jaką ciemniejszą, i gdybyś pan, dodał zwracając się do De Benhama, zdjął to jasnę ubranie na parę następujących godzin.

Kapitan cóś mruknął o niepotrzebnem głupstwie, ale poszedł jednak do swego pokoiku zmienić tę niebezpieczną część ubrania, a pan Zacharyasz Polter objawił zdanie że gdyby kapitan i wszyscy na okręcie mogli sobie uczernić białka od oczów i zęby pokryć żałobą nie byłoby to zbytkiem w obecnych okolicznościach.

Potem, nieszczęśliwy kogut który całą drogę odbył z Liwerpool, ale miał zwyczaj donośnie piać o północy i nad ranem, uległ przedwczesnej śmierci z rąk kucharza, i gdy już zmrok coraz bardziej zapadał, mechanicy kazali węgla dołożyć, kapitan wydał rozkazy i *Ptak Burzy* wprost skierował na Charleston.

Noc zapadła, nie bardzo jasna, chociaż gwiazdy świeciły, a można było jednak rozeznać przedmioty w pewnej odległości, i co chwila ukazywały się nowe okręty, ale że żaden nie stał na drodze, i że kapitan wiedział że własny jego okręt był niewidzialnym w nocy poza pewnym zakresem, postępował więc naprzód bez wahania. Tymczasem godziny zdawały się uciekać lotem strzały. *Ptaka Burzy*, lecąc jakby wprawny koń wyścigowy, okrywał pianą swe boki, mknął tylko po wodach. O północy chmury zaczęły zasłaniać gwiazdy, ale mgła się jeszcze nie wznosiła. Koło drugiej, ołowianka donosiła że się zbliżali do lądu. Sternik kazał zwolnić ruch maszyn, milczenie głębokie zapanowało na statku, oczy i uszy tylko wytężone, chwytały z niespokojnością każdy przedmiot, lada szmer, i spodziewając się w każdej chwili ujrzeć blokującą eskadrę, powoli i ukradkiem naprzód postępowali.

Uczucie czasu jakby nagłej uległo zmianie. Dotąd godziny przechodziły jak minuty, teraz minuty wydawały się godzinami. Żadnem światłem nie mogli się kierować, bo latarnie morskie zostały skasowane od chwili przybycia nieprzyjacielskich okrętów i na naszym statku zaczynano z niespokojnością się dopytywać jeden drugiego czy ląd nie powinienby się już ukazywać i nastąpiło to drugie pytanie: czy w skutek wymykania się i zbaczania z drogi, sternik nie pomylił się w swem obrachowaniu.

Ptak Burzy dalej jednak się posuwał; każde nowe zapuszczenie sondy, okazywało mniejszą głębinę, i oczy wszystkich z coraz większą niespokojnością wpatrywały się w ciemności, wiedząc że niedługo morze zacznie odpływać, dzień się zrobi, i że po wschodzie słońca, największa szybkość i żadne wysilenia nie będą w stanie ich uratować.

Nareszcie kiedy wyczekiwanie stało się prawdziwem cierpieniem, ujrzano jakieś słabe, niepewne kształty, które się niedługo zamieniły w wielki okręt stojący na kotwicy, tyłem odwrócony w stronę wiatru, i ze słabem światełkiem zawieszonem na przodzie.

Pan Zacharyasz tryumfująco poklepał się po udzie.

— Oto okręt naczelnego dowódcy, szepnął; akurat o ćwierć mili od wejścia do portu stoi, i jak widzicie ma obowiązek ukazywać światło swoim statkom. Niech mi kto powie czyśmy ślicznie nie trafili tym razem!

I wtedy, nie jeden po drugim, ale wszystkie razem blokujące okręty rozwinęły się w linję, jedne na prawo, inne na lewo statku odznaczającego się światłem. Sześć ich narachowali, oprócz admiralskiego, wszystkie wolno, prawie niedostrzeżenie przesuwające się tam i nazad.

Ptak Burzy musiał pomiędzy dwoma z nich prześliznąć się, i co do tego nastąpiła chwilowa sprzeczka pomiędzy kapitanem i sternikiem, pierwszy twierdził, że najszersze przejście znajdowało się pomiędzy dwoma okrętami trochę na prawo, a drugi przekładał drogę pomiędzy admiralskim statkiem i najbliższym na lewo.

— Powiadam wam, kapitanie, rzekł z naciskiem, że tym razem grubo się mylicie. Spodziewam się że się między niemi jak węgorz prześliźniemy, ale jeżeli nas wypatrzą, *wiemy* przynajmniej że jeden z dwóch stoi na kotwicy i nie będzie nas mógł ścigać. Zresztą admiralski okręt zawsze najbliżej ujścia stoi.

Kapitan ustąpił więc z niechęcią, jak było jego zwyczajem; parę podniesiono do najwyższego ciśnienia, *Ptak Burzy* puścił się naprzód i niedługo obydwa okręty pomiędzy któremi obrał sobie niebezpieczną drogę, stały się bliższeni, wyraźniejszemi i ciemne wybrzeże chociaż niepewnie jeszcze, ukazało się za niemi.

Chwila stanowcza nadeszła, dzielny okręt prędko i wprost naprzód przed siebie pędził, szruby jego w takt i szybko się poruszały, jak gdyby pulsa wśród gwałtownej gorączki, woda syczała na około niego. Wszyscy oddech prawie wstrzymywali, coraz się zbliżali do okrętów nieprzyjacielskich, od których parę set łokci niedługo ich tylko oddzieliło; przez chwilę *Ptak Burzy* na tej samej linii co one stanął, nareszcie, zostawiając je za sobą wpłynął w ujście rzeki kierując się wprost ku miejscu gdzie długi pas spienionych bałwanów oznaczał położenie wału.

— Bogu dzięki! zawołał kapitan, głęboko oddychając, przeszliśmy!

— Nie chwalmy się za wcześnie, dopóki wału nie przepłyniemy, odpowiedział pan Zacharyasz Polter. Jeszcze ich armaty mogą w nas trafić.

Niedługo jednak znaleźli się za wałem bezpieczni i uszczęśliwieni zwycięztwem.

Dwa razy teraz wypuszczono syczącą parę bez żadnej obawy, i dwie białe latarnie wywieszono po bokach okrętu, bo sternik ich już bywał w tych stronach i wiedział o znakach potrzebnych poza linją blokady. Gdyby tego zaniedbano, Skonfederowane forty strzelałyby do *Ptaka Burzy*.

Gwarno i wesoło było teraz na okręcie; nawet kapitan Hay wypogodził zwykle zachmurzone czoło; obiecał majtkom podwójną porcyą grogu, i sam zaprosił De Benhama i pana Heneage na butelkę wina Szampańskiego do swego pokoiku. Tymczasem brzask jutrzenki odkrył szare wybrzeże i gdy pierwsze cienie różowe wschodzącego słońca ukazywały się na niebie, *Ptak Burzy* zarzucił kotwicę pod bateryami wyspy Morris.

ROZDZIAŁ XXXVI.

Pierwsze zyski.

Wyspa Morris w biały dzień nie bardzo miała przyciągającą powierzchowność; była to niska płaszczyzna z pagórkami piaskowemi, bagnami z gorzkiej morskiej wody, i gdzie niegdzie kawałkiem zarosłym nędzną trawą. Pomiędzy pagórkami rozsypane były namioty, a nad samym brzegiem wznosiły się długie bateryе z worków napełnionych ziemią nad któremi wyglądały ze strzelnic ciemne paszcze armat.

Wyspa Sullivan, długi pas ziemi ciągnący się trochę wyżej na północ wzdłuż przeciwnego brzegu, przedstawiała te same piaski i bagna, ożywione jednak wspaniałą budową Fortu Moultrie, a pomiędzy obydwoma brzegami, na pół drogi, z gwiaździstą chorągwią wesoło powiewającą ponad niemi, wznosiły się, jakby wprost z wody wychodzące zniszczone i nagie mury Fortu Sumter,

Rzeka płynęła żółta i mętna jak Tyber pod zamkiem Świętego Anioła, opadając wraz z upływem morza, brzegi piaszczyste olśniewały swą białością, wiatr gorący, duszący jak włoski sirocco i unoszący kłęby piasku jak wiatry z pustyni egipskiej, silnie dął, zasypując oczy, wysuszając usta i piersi, to też cała załoga *Ptaka Burzy* jednomyślnie uznała, że

waleczni obrońcy tych fortów wielce bardzo przyjemne pędzili życie.

Jak tylko obudzono się i zaczęto się krzątać w obozie na wyspie Morris, całe wybrzeże okryło się Skonfederowanymi oficerami i żołnierzami, ubranymi prawie jednakowo, w mundurach z grubego popielatego sukna wyszytemi tasiemkami, z żółtemi wyłogami i z guzikami, ozdobionemi palmowem drzewem. Zapał ich i radość nie znały granic. Kilku oficerów wsiadło zaraz do łódki i podpłynęło do okrętu, ściskając wszystkich za ręce, namawiając ich żeby wylądowali, zjedli śniadanie i obejrzeli wyspę i baterye, obsypując ich pytaniami i zaproszeniami różnego rodzaju.

— Panowie, jesteście pierwszymi którzy przesunęli się przed blokadę, z okrętem takich rozmiarów, mówił jeden.

— Piękny to czyn, panie kapitanie! powiedział inny.

— Przywieźliście nam pewnie cały ładunek karabinów, żebyśmy mogli oćwiczyć tych Yankesów! zawołał trzeci.

Czwarty, zwracając się po kolei do kapitana, do nadzorcy ładunku i do jedynego ich pasażera, mówił do każdego w te same słowa.

— Będziecie u mnie na obiedzie jutro, panowie w Mills House, punkt o siódmej. Oto mój bilet. Pułkownik Drummond, na wasze usługi.

— Każdy odważny Anglik który przepływa przez blokadę jest gościem i bratem każdego mieszkańca miasta Charleston.

— Niech przepadnę, panowie, jażeli was dalej puszczę dopóki nie wypijecie w moim namiocie butelki Madery!

Opierając się tym wszystkim i wielu podobnym zaprosinom, kapitan potrafił nareszcie pozbyć się swych gości wojskowych i wywiesiwszy flagę angielską przygotował się do odjazdu. Baterya powitała ich wystrzałem z armaty, fort Moultrie poszedł za jej przykładem i odpowiadając tym grzecznościom skłonieniem swej flagi, *Ptak Burzy* skierował się ku Charleston.

Przepłynęli obok fortu Sumter, podziurawionego, zczerniałego od bombardowania które zniósł; potem obok fortu Johnson, na innym piaszczystym przylądku. Niedaleko brzegu, na miejscu gdzie rzeki Oshley i Cooper łączą się ze sobą wznosił się na Shute's Folly, zamek Pinckney, jakby wielka okrągła wieża śmiało wyglądająca na pełne morze, nareszcie na trójkącie oblanym wodami obydwóch rzek Charleston rozpościerało swe ulice, wybrzeża, place, białe kopuły, wysmukłe wieżyce, liczne gmachy publiczne, różnobarwne domy i zielone ogrody.

Wiadomość o przybyciu okrętu zatelegrafowano do miasta z wyspy Morris, i *Ptak Burzy*, gdy wpłynął, był przyjętym przez tłum uradowany i wykrzykujący, który go powitał z takim zapałem jak gdyby powracał z jakiego morskiego zwycięztwa. Ludzie przybywali szybko na wybrzeża w miarę jak okręt się zbliżał, zbierając się przy miejscu wyładowania; jak tylko go przymocowano, żołnierze, mieszczanie, kobiety, dzieci, murzyni powiewając czapkami i chustkami od nosa, szczękając pałaszami i ostrogami, wrzeszcząc, śmiejąc się, popychając się, poruszali się na wszystkie strony i upojeni tym szałem, który w czasach wielkich przesileń napełnia powietrze jakby gaz jaki, gotów zapalić się od byle jakiej iskierki.

Gdy zarzucono pomost, niełatwo było utrzymać w oddaleniu tę ciżbę. Wydawszy jednak rozkaz, żeby nikogo nie wpuszczać na okręt oprócz miejskich urzędników albo osób mających interes do nadzorcy ładunku, kapitan postawił dwóch ludzi u wejścia na pomost a jednego przy okręcie i tak się zabezpieczył przeciw natrętnym gościom.

Pan Heneage, albo raczej senator Shirley, jak się rzeczywiście nazywał, skorzystał z pierwszej sposobności żeby wylądować, zaraz go poznano i dawni towarzysze jego podróży mogli widzieć jak naraz sto rąk wyciągnęło się żeby ścisnąć dłoń jego jak go w tę, to w ową stronę unoszono, i jak nareszcie był uprowadzony przez swych współrodaków namiętnie wykrzykujących na jego cześć.

Wtedy, kapitan i sternik, mechanicy, drużdy dowódcy i połowa załogi, dokonawszy swego dzieła, mogli wylądować i używać swej swobody, ale zadanie nadzorcy ładunku, rozpoczynało się dopiero. Był to dzień pełen niepokoju dla Templa De Benham. Pan Hardwicke dotąd różnorodne mu powierzał sprawy, ale nigdy go jeszcze nie użył do kupowania lub sprzedawania, a teraz, pierwszy raz w życiu, widział się odpowiedzialnym za sprzedaż towarów wartości kilkunastu tysięcy funtów. Czuł całą ważność tej odpowiedzialności, wiedział, że żeby godnie wywiązać się ze swego zadania potrzebował całej swej zimnej krwi i przytomności umysłu; wiedział że powinien działać prędko ale nie z pośpiechem, śmiało ale ostrożnie. Przedewszystkiem wiedział, że nie powinien zdradzać swej nieznajomości handlu; pierwszym obowiązkiem jego położenia było udawać doświadczenie chociaż go nie posiadał.

Rozważywszy to wszystko i postanowiwszy że najlepiej będzie pozostać na okręcie dla zajęcia się interesami tyczącemi się sprzedaży ładunku, przemienił swój pokoik na rodzaj kantoru. Stół i parę stołków, wielka księga i druga na zapisywanie obstalunków, skrzynka na listy, plika gotowych blankietów na rachunki, duży kałamarz i t. p., nadały małej celce pozór prawdziwie zastosowany do interesów. Młody człowiek starał się także siebie przekształcić i przybrać powierzchowność człowieka fachowego. Dobrze zrobił czyniąc naprzód wszystkie swe przygotowania, bo zaledwie je ukończył i nim kapitan przystał na ich przyjęcie, kupcy cisnęli się już do okrętu.

Ptak Burzy opuścił wyspę Morris bardzo wcześnie i przybił do lądu o jedenastej z rana. Przed drugą po południu, gdyby mu się było tak podobało, De Benham byłby mógł zbyć każdy przedmiot ze swego ładunku, ale się wstrzymywał, próbując targu i żądając najwyższych cen. O piątej wszystko już sprzedał zarabiając od dziewięciu set do tysiąca dwieście na sto!

Kilka tysięcy męskich flanelowych koszul, naprzykład, zakupionych hurtem w Manchester po piędziesiąt pięć szyllingów za tuzin, były nabyte przez jednego i tego samego kupca po dziesięć dollarów za sztukę. Taka sama liczba butów z podkówkami, kosztujących pięć szyllingów para, były przedane po dwa funty i ośm szyllingów. Dziesięć pak rewolwerów kupione po dwadzieścia cztery funty za tuzin zostały sprzedane przez De Benhama po dwadzieścia funtów każda sztuka. Reszta towarów składających się z kapeluszy, pończoch, bawełnianych towarów, i t. p., doszły do cen równie wysokich stosunkowo do pieniędzy jakie za nie dano, a co do kołder i do karabinów, na tych najwięcej zarobiono bo zostały w tej chwili zakupione na rzecz Rządu Skonfederowanego przez naczelnika składów wojskowych.

Kiedy ostatni interes został ukończony i ostatni kupiec opuścił okręt, De Benham zamknął się w swoim pokoiku żeby ułożyć chociaż przez przybliżenie, bilans interesów ułatwionych w tym dniu. Zostawiając sporą sumę na wydatki, po dwóch godzinach zawikłanych rachunków przekonał się, że mieli czystego zarobku osiemdziesiąt siedem tysięcy funtów sterlingów.

Nie obrachował nawet wiele wynosił procent jaki mu się należał, ale raz osiągnąwszy ten skutek, zamknął swoje książki i papiery, wziął walizę, wylądował, wsiadł do pierwszej dorożki jaką spotkał, kazał się zawieść do wielkiego hotelu zwanego Mills House i zaraz się położył z najokropniejszym bólem głowy jaki miał w życiu.

Obudziwszy się jednak ku północy na odgłos hucznej muzyki i ciężkich kroków licznego tłumu przechodzącego przez ulicę i powtarzającego z zapałem zwrotkę *Dixie's Land* tej pieśni narodowej Ameryki południowej, usiadł na łóżku, przecierając sobie oczy, nie mogąc pojąć co się z nim stało i zapominając wszystkiego co się zdarzyło od chwili gdy był biednym studentem w Zollenstrasse am Main. Nagle przypomniał sobie że nie był już ubogim, że znajdował się na drodze wiodącej do majątku, i że mu się należał piętnasty procent od zarobku już osiągniętego, i wtedy, pomimo bólu głowy, nie mógł się wstrzymać od przerachowania swoich zysków.

Wynosiły nie mniej jak trzynaście tysięcy piędziesiąt funtów. Zaledwie mógł temu uwierzyć, kilka razy powtórzył ten obrachunek, który zawsze tak samo wypadał, i nareszcie dał się przekonać. Piętnaście od sta czyniło sto piędziesiąt funtów na każdy tysiąc, a ośmdziesiąt siedm razy, sto piędziesiąt...

Ale musiał się od tej chwili pożegnać z nadzieją snu, i już oka nie zmrużył do rana.

ROZDZIAŁ XXXVII.

Niezły interes.

Dnie następujące były poświęcone wyładowywaniu *Ptaka Burzy*, wręczeniu towarów nabywcom i odbieraniu od nich należnych pieniędzy. De Benham nie zaniechał przy sprzedaży, położyć za warunek, żeby wypłata dopełnioną została w wekslach na bankierów angielskich. Nie mógł jakoś nabrać zaufania do tych nowiuteńkich skonfederowanych biletów bankowych, które jak w irlandzkiej legendzie mogły w przeciągu jednej nocy zamienić się na stos suchych liści. Potem trzeba było się wziąć do głównego interesu, do zakupienia bawełny.

Zapasy znajdujące się w mieście były, jak mu mówiono, mało znaczące, bo z przyczyny zawieszenia ruchu handlowego, pozostawiano towar po plantacyach. Dosyć go było jednak na to co potrzebował De Benham w otwartych szopach stojących długim rzędem na wybrzeżach i całą flotę *Ptaków Burzy* można było tą bawełną naładować. Niektóre z tych szop były przepełnione pakami owiniętemi w grube indyskie płótno; na przystaniach wznosiły się całe stosy, gotowe w jednej chwili do przeniesienia na okręty, ale rzadko się już to teraz zdarzało, bo dla braku kupców handel był w zupełnem zawieszeniu. Było coś dziwnie smutnego w widoku tego kosztownego płodu którego wydanie tyle ludzkiej pracy już kosztowało, i dla braku którego tyle milionów robotników znajdowało się bez zarobku. De Benham nie mógł się wstrzymać od wyjawienia tego uczucia parę razy, ale słuchacze jego, kupcy z Charleston o gorącej krwi zamienieni teraz na żołnierzy, z palmowem drzewem na czapkach, uśmiechali się tylko szczękając ostrogami i włócząc pałaszem i chwalili się że niedługo wytrzepią Yankesów, wypędzą okręty blokujące i zadziwią świat cały.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr. 57. Дозволено Цензурою, Варшава 12 (24) Августа 1875 г.